

Biuro prasowe obywatelski  
BIBLIOTEKA

● Mętlík w partii i w Solidarności ● Odzyskane święto ● Zieliński  
o programie Balcerowicza ● Żeby Polska... ● Polacy i Ukraińcy  
● Unicy podlascy ● Potomek Dzyngis - chana ● Wilcze spółki?

TYGODNIK  
WSCHODNI

PL ISSN 0660-8830

# relacje

LUBLIN, 09.11-15.11.1989 R.

NR 43

CENA 200 ZŁ



W domku przy ul. Spacerowej pozostała tylko pani Teofila Zakrzewska

Fot. Waldemar Stępień

**AKOWSKA  
WYTWÓRNIĄ BRONI  
W LUBLINIE**

STR. 12-13

„I w Solidarności, i w partii jest mętlík”

## DORAŻNOŚĆ RODZI SIĘ Z NIEMOCY

Rozmowa z prof. Zdzisławem Cackowskim

— Chcielibyśmy skoncentrować naszą rozmowę wokół świata myśli i świata polityki, zależności tych dwóch światów od siebie. Spróbujmy zatem kluczowe pytanie sformułować tak: czy pańskim zdaniem systemy polityczne dzielą się na systemy ideologiczne i systemy pragmatyczne? Jeżeli tak, to jaki ma to wpływ na sprawy państwa, jego organizację, na życie społeczne w tym państwie?

— Ja nie potrafię odpowiedzieć na pytanie, czy ten dychotomiczny podział jest zupełny i czy wszystkie systemy dadzą się tak precyzyjnie zakwalifikować, natomiast miałbym odwagę stwierdzić, że istnieją systemy ideologiczne i pragmatyczne. Ideologiczne, to znaczy takie, które praktyczne działania społeczne i polityczne podporządkowują ideologii, doktrynie i tę doktrynę realizują — powiedziałbym — nawet wbrew wymogom pragmatycznym. Takim systemem była choćby republika Savonaroli, był nim również system Stalina.

— Utopie są chyba z istoty ustrojem ideologicznym.

— Tak, tylko że my w tej chwili mówimy, czy też raczej mamy mówić, nie o konstrukcjach teoretycznych, lecz o doktrynach, które się realizuje. I ponieważ zostałem zapytany o system ideologiczny, wybrałem te właśnie — może drastyczne — przykłady historyczne. W tych ustrojach pewne zasady musiały być realizowane niezależnie od tego, jak pasowały do realiów życia, sposobu zaspokajania potrzeb ludzi, możliwości etc.

— A czy można postawić znak równości między państwem ideologicznym i totalitaryzmem?

— Hm, skłonny byłbym odpowiedzieć, że tak, ale ludzie tak różnorodnie posługują się pojęciem „totalitaryzm”, że wzdramam się przed jednoznaczna opinią. System ideologiczny wychodzi od pewnych wartości doktrynalnych, absolutyzuje je, nie dopuszcza relatywizacji i wymusza stawianie się słowami. Wartości ulegają absolutyzacji — to im ma służyć wszystko, one zaś nie mogą być podporządkowane niczemu, nikomu, jest to sakralne traktowanie idei.

Dlaczego to jest możliwe? Otóż ideologia żyje — bo zawiera wartości, które przyciągają ludzi. A po wtóre — realne życie jest tak podłe, że popycha ludzi w kierunku idei. I tu pojawia się problem doktrynera. Powiada on:

im gorzej ludziom w życiu, tym bardziej tęsknią do IDEI... Taka postawa, oczywiście, wyklucza reformatorstwo, bo jeżeli zmienia się sytuację na korzystniejszą, to ubywa realnej potrzeby dla egzystencji IDEI. Kształtuje się program: wszystko albo nic. Natomiast człowiek ideowy przyjmuje ideę, ale nie w sposób doktrynerski, absolutystyczny. Czyli dwie opcje: jedna nastawiona na realizację idei za wszelką cenę, druga — sukcesy idei mierzy tym, w jakim zakresie zmniejszyła się sfera zła.

— A jeśli idea, uznawana za potrzebną i konieczną dla poprawy ludzkiego bytowania, nie spełnia zakładanych celów, to co bądź kogo należy oskarżać: ideę jako taką czy też może jej strażników?

— Nie potrafię jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie, bo jeśli idea się nie spełnia, to zwykle trzeba zmienić coś i w niej, i w działalności strażników także. Kiedy zastanawiam się nad funkcjonowaniem jakiegokolwiek idei: komunistycznej, socjalistycznej, chrześcijańskiej czy innej, nie jestem w stanie wyprzeć jej w formę metafizyczno-filozoficzną i rozpatrywać niezależnie od walorów ludzi, którzy ją urzęczywistniają. Idea społeczna to jest idea realnie działająca, a nie metafizyczny preparat.

— Czy w takim razie postrzega pan systemy pragmatyczne jako antynomie systemów ideologicznych, jako państwa bezideowe?

— Mówiłem tu o formacjach ideologicznych, doktrynerskich. Nie wiem, czy na przeciwnym biegunie są struktury, które w ogóle nie mają żadnej ideowej perspektywy, żadnej wizji. Raczej wątpię, być może występują one w sytuacjach rozkładu, chaosu politycznego. Ale po drodze są różne inne systemy, różne formacje. Zastanawiałem się kiedyś nad sposobem działania człowieka i doszedłem do wniosku, że my większą część swojej energii przeznaczamy nie na działanie, tylko na przeciwdziałanie. Działanie rozumieć przy tym jako realizację pewnego celu, a przeciwdziałanie to zapobieganie różnym zagrożeniom powstającym w trakcie tej realizacji. Odwołując się do tego, co powiedziałem na początku: jeżeli ktoś nie zdaje sobie sprawy z tego, że realizując założenia ideowe, musi być także przygotowany na przeciwdziałanie zagrożeniom, to wtedy wpada w obsesję doktrynersko-ideologiczną, i to bywa groźne. Jest groźne!

(Dokończenie na str. 10—11)



# relacje

## ZE ŚWIATA

● Zdaniem prasy włoskiej, w bliższym czasie papież Jan Paweł II otrzyma oficjalne zaproszenie do złożenia wizyty duszpasterskiej w ZSRR. Jednym z warunków tej podróży jest legalizacja Kościoła Unitów, włączonego decyzją Stalina w roku 1946 do cerkwi prawosławnej, wbrew woli wiernych i biskupów.

● W związku z decyzją rządu węgierskiego o przerwaniu budowy zapory i elektrowni w Nagymaros na Dunaju, Czesi oświadczyli, że wystąpią do Węgrów o rekompensatę poniesionych kosztów. Budowę tę rozpoczęto przed laty jako wspólną inwestycję. Odszkodowań domagają się również firmy austriackie zaangażowane na tej budowie.

● Korzystając z rozluźnienia kontroli granicznej między Czechosłowacją a RFN, tysiące obywateli NRD skierowało się na przejście graniczne w miejscowości Heb.

● 73 członków satelickiej partii ludowej zaapelowało do swojego kie-

rownictwa, aby „nie pozwoliło się dłużej wykorzystywać Komunistycznej Partii Czechosłowacji”. Działacze prasy z niewielkiej Partii Socjalistycznej opublikowali oświadczenie domagające się usunięcia z konstytucji zapisu o kierowniczej roli partii komunistycznej, oddzielenia związków zawodowych od instytucji politycznych oraz respektowania praw człowieka w CSRS.

● Kierownictwo radzieckiego KGB (Komitet Bezpieczeństwa Państwowego) oświadczyło, że wraz ze zmianami w kraju konieczna jest przebudowa i demokratyzacja w funkcjonowaniu tej instytucji. M.in. w miejsce zlikwidowanego wydziału ds. dywersji ideologicznej, utworzono wydział zajmujący się „ochroną praw i swobód politycznych, społeczno-gospodarczych i osobistych obywateli radzieckich”.

● Po wiecu przed siedzibą KGB na Łubiance w Moskwie, zorganizowanym przez stowarzyszenie „Memoriał” dla uczczenia ofiar terroru stalinowskiego, na Placu Puszkina interweniowała milicja zatrzymując 69 osób. Zdaniem agencji TASS, incydent został spowodowany przez manifestantów, którzy — wynika to z relacji KGB — „przyszli z wyraźnym uprzedzeniem wobec pracowników bezpieczeństwa”.

● Michaił Gorbaczow i George Bush spotkają się 2 i 3 grudnia br. na okrętach wojennych obu bander na wodach w pobliżu Malty.

● „Antysemityzm na Węgrzech rozwija się, stał się bardziej widoczny. Żydzi są pełni strachu” (główny rabin Węgier, Alfred Schoener, w wywiadzie dla tygodnika „Kepes 7”).

● Przywódca bułgarski Todor Żiwkoff opowiedział się za pewną formą pluralizmu w swoim kraju.

● Podczas demonstracji niezależnego ugrupowania „Ekogłasnost” w Sofii, bułgarskie siły bezpieczeństwa dokonały licznych aresztowań. Według agencji zachodnich, część zatrzymanych wywieziono do odległego o kilka kilometrów parku i tam wypuszczono.

● Węgierski dziennik rządowy „Magyar Hirnap” przeszedł w 40 procentach w ręce brytyjskiego magnata prasowego Roberta Maxwella.

● Trzy lata po awarii elektrowni atomowej w Czarnobylu, skażenie promieniotwórcze gleby w wielu miejscach ZSRR przekracza 10—15 razy dopuszczalne normy. Specjaliści oceniają, że w Związku Radzieckim i całej Europie należy się spodziewać do 135 tysięcy dodatkowych zgonów na raka. Niektórzy są nawet zdania, że liczba ta może być kilkakrotnie wyższa.

● Międzynarodowy Instytut Prasy (IPI) zaprotestował przeciwko metodom zastosowanym przez władze czechosłowackie dla stłumienia demonstracji opozycji na placu Waclawa w Pradze oraz represjom wobec zagranicznych korespondentów.

● Na ulicach stolicy Peru, Limy, członkowie lewackiego ugrupowania „Świetlistny szlak” rozwiesili plakaty oskarżające Michaiła Gorbaczowa i Deng Xiaopinga o zdradę prawdziwego socjalizmu i grożące im śmiercią. „Świetlistny szlak” walczy przeciwko władzom peruwiańskim i pragnie utworzyć „prawdziwe państwo robotniczo-chłopskie”.

● Jeden z bojowników Radykalnego Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny dokonał przy pomocy łodzi rybackiej samobójczego ataku na izraelski kuter patrolowy. Podpłynąwszy do nieprzyjacielskiej jednostki, wysadził się w powietrze. Kierownictwo Frontu zapowiedziało kolejne akcje palestyńskich kamikadze.

● Radziecki dziennik „Prawda” opublikował komentarz pt. „Niepokojące sygnały”, zwracający uwagę na kontakty „Solidarności” z rewizjonistami zachodniemieckimi. Zdaniem gazety, kontakty te mogą zagrozić trwałości polskiej granicy zachodniej.

# relacje

## Z KRAJU

● Po długotrwałych i trudnych negocjacjach uzgodniono wreszcie termin przyjazdu i program wizyty kanclerza RFN Helmuta Kohla w Polsce. Kanclerz zrezygnował ze swojego pierwotnego zamiaru uczestniczenia w niemieckojęzycznym nabożeństwie na Górze Św. Anny. Miarą komplikacji w stosunkach polsko-niemieckich jest fakt, iż ten pozorny, dla zachodnich komentatorów, drobny był jedną z ważniejszych przyczyn systematycznego odkładania tej wizyty.

● Sejm Rzeczypospolitej podjął dwie ustawy niezwyklej wagi. Pierw-

sza dotyczy zaprzestania udzielania dotacji partiom politycznym z budżetu państwa. Druga postanawia znieść wszelkie ulgi podatkowe wobec spółdzielni.

● Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch”, wydawca olbrzymiej większości prasy w Polsce, przewiduje likwidację około 200 deficytowych tytułów. Około 3200 dziennikarzy może stracić pracę. „Relacje” są także zagrożone.

● Urynkowanie i prywatyzacja gospodarki, zdaniem docenta Bolesława Przywary („Trybuna Ludu” z 2 XI), jest restytucją kapitalizmu oraz zagrożeniem ekonomicznej suwerenności. „Każda próba cofnięcia dziejów historii — stwierdza autor — musi prędzej czy później skończyć się niepowodzeniem. Idźmy więc do przodu, a nie do tyłu”. My też uważamy, że trzeba iść do przodu.

● Wysokie ceny nabiału doprowadziły do drastycznego spadku popytu. Broniące się przed plajtą spółdzielnie mleczarskie obniżyły ceny skupu mleka, znacznie pogarszając opłacalność hodowli krów. Spadły ceny krów i jałówek, dochodzą sygnały, że rolnicy wylewają mleko do świnich koryt. Grozi to masową rzezią bydła oraz zamianami rynku nabiałowego.

● Spadek popytu na mięso i wędliny spowodował w całym kraju obniżkę cen. Nie dotyczy to jednak województwa zamojskiego. Zakłady Mięsne w Zamościu zabroniły kierownikom sklepów dokonywania przeceny nawet wówczas, gdy wyroby tracą świeżość i nabierają kolorów. Jak wytypił reporter „Sztandaru Ludu”, nieświeże wyroby „reprodukuje” się i np. stary schab przerabia się na „świeżą” poledwice.

● „Wydaje się, że w dwa lata po interwencji w Czechosłowacji stworzono grupę do administrowania kryzysami w skali Europy Wschodniej, uznając, że interwencja była reakcją zbyt nerwową. To się przerodziło w Ośrodek, który obecnie koordynuje transformację zachodzącą w Polsce, na Węgrzech i w Związku Radzieckim” (Jadwiga Staniszkis w wywiadzie dla „Tygodnika Solidarność”).

● Do Sądu Rejonowego w Zielonej Górze wpłynął wniosek pani Loretty Sarnowskiej (i jej matki) o sądowe uznanie, że jej ojciec, ppor. lekarz Ksawery Górak został zamordowany przez NKWD w Katyniu „nie później niż 15 maja 1940”. Wersja sądowa śmierci ppor. Góraka, wydana w 1951 roku przez Sąd Powiatowy w Zielonej Górze, określała datę zgonu, mimo bezspornych dowodów, na rok 1946.

(pw)

## W „RELACJACH” SZYBCIEJ, TANIEJ, DALEJ

Przypominamy wszystkim zainteresowanym, że od kilku tygodni publikujemy więcej ogłoszeń. Tym, którzy zechcą skorzystać z naszych usług, przypominamy, że u nas ogłoszenia ukazują się:

### — Szybciej

bo jeżeli otrzymamy ogłoszenie do godziny 10 w poniedziałek, to już w czwartek zamieszczamy je w kolejnym wydaniu „Relacji”;

### — Taniej

bo jako pismo nowe korzystamy z preferencji i oferujemy ceny dużo niższe niż pozostałe tytuły wydawane przez Lubelskie Wydawnictwo Prasowe;

### — Dalej

bo „Relacje” mają debiet ogólnopolski i sprzedawane są w całym kraju.

Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń (Lublin, Al. Raclawickie 1, parter, tel. 214-23) w godzinach 9—15.45.

O ogłoszeniach szczególnego rodzaju informuje natomiast poniższy komunikat:

### Odnajdziesz się w „Relacjach”

- Jeżeli masz telefon, a nie ma Cię w książce telefonicznej.
- Jeżeli założyłeś firmę.
- Jeżeli Twoja firma zmieniła adres lub numer telefonu.
- Jeżeli proponujesz nowe usługi lub towary.

#### SKORZYSTAJ

z Informatora Firmowego „Relacji”. Publikować w nim będziemy aktualny rejestr firm prywatnych i państwowych, sklepów, punktów usługowych itd. oraz ich aktualne adresy i telefony. Także — według życzenia — informacje o świadczonych przez nie usługach, o ich ofertach itd. Także aktualne telefony prywatne, jeżeli nie ma ich w książkach telefonicznych. W ten sposób powstanie „INFORMATOR FIRMOWY RELACJI”. Dzięki „Informatorowi” o wiele rzadziej będziesz korzystał z numerów 912 i 913. „INFORMATOR...” zawierał będzie trzy działy: NOWE FIRMY, NOWE ADRESY I TELEFONY; MÓJ NOWY TELEFON.

#### ZGŁOSZENIA

przyjmuje Redakcja Tygodnika Wschodniego „Relacje” — Lublin, ul. Marii Curie-Skłodowskiej 2 w godz. 10—14 oraz Biuro Ogłoszeń — Lublin, Al. Raclawickie 1.

#### KOSZT

zamieszczenia informacji w „INFORMATORZE” jest taki sam, jak za inne ogłoszenia prasowe, a więc u nas — niższy.

## „RELACJE” W PRENUMERACIE

Zainteresowanych możliwością zaprenumerowania naszego tygodnika informujemy, że prenumerata „Relacji” na pierwszy kwartał 1990 roku przyjmowana jest do 20 listopada br.

1) W miastach, w których istnieją Oddziały RSW, można zamówić prenumeratę w tych Oddziałach, w klubach MPiK oraz w wytypowanych kioskach (w których kioskach — można dowiedzieć się w odpowiednim Oddziale). Informujemy, że w makroregionie oddziały RSW znajdują się w następujących miastach: Biała Podlaska, Biłgoraj, Chełm, Hrubieszów, Krasnostaw, Kraśnik, Lubartów, Lublin, Puławy, Radzyń, Tomaszów, Włodawa, Zamość. Czytelników spoza makroregionu prosimy o ustalenie siedzib odpowiednich Oddziałów we własnym zakresie, a wszystkich naszych Czytelników informujemy, że ta forma prenumeraty nie łączy się z żadnymi dodatkowymi opłatami.

2) W Świdniku prenumeratę na warunkach połączonych w punkcie 1. przyjmuje urząd pocztowy.

3) Utrzymana będzie bardzo korzystna prenumerata instytucjonalna, czyli zamawiana i dostarczana do zakładów pracy, z której mogą korzystać również prenumeratorki indywidualni zatrudnieni w tych zakładach. Za tę usługę nie będą pobierane dodatkowe opłaty.

4) Z możliwości zaprenumerowania tygodnika z dostawą do domów będą mogli skorzystać tylko mieszkańcy wsi, osiedli oraz miasteczek, w których nie ma Oddziałów RSW, oraz osoby niepełnosprawne bez względu na miejsce zamieszkania. Usługa ta łączy się z poniesieniem dodatkowych opłat, a informacji w tej sprawie udzielają urzędy pocztowe przyjmujące prenumeratę oraz doręczyciele.

5) Zamówienia na prenumeratę w roku 1990 przyjmowane będą tylko na jeden kwartał. Stosowne komunikaty będziemy publikować w odpowiednim czasie.

6) Cenę prenumeraty kwartalnej tygodnika „Relacje” podano w „Informatorze o cenach prasy polskiej w prenumeracie”, który jest do wglądu dla Czytelników w urzędach pocztowych i u doręczycieli.

7) Koszt prenumeraty na pierwszy kwartał 1990 roku ustalony został dla Tygodnika Wschodniego „Relacje” w wysokości 2210 złotych, a więc za jeden numer prenumerujący płaci 170 złotych, czyli mniej niż w sprzedaży kioskowej.

8) Poczynając od 1 stycznia 1990 roku, cena prenumeraty zagranicznej równa się: cenie prenumeraty krajowej powiększonej o 100 proc. Wpłaty przyjmowane będą tylko na okresy kwartalne.

Wpłaty na prenumeratę zagraniczną przyjmuje Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw na numer konta NBK XIII Oddział Warszawa 37-0044-1195-139-11, ul. Towarowa 28, 00-950 Warszawa.

9) Ze swej strony proponujemy zainteresowanym Czytelnikom rozważenie możliwości wskazanych w punktach 3 i 7 oraz obiecujemy, że w 1990 roku też będzie u nas co poczytać!

Redakcja



# PRZYWRACANIE ŚWIĘTA

## WYSTĄPIENIE POSŁA RYSZARDA BENDERA NA POSIEDZENIU SEJMU 9 XI 1988 R.:

**D**ZIS Sejm czci 70 rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości po 123 latach niewoli. Naród cały uczci fakt ten pojutrze, 11 listopada, gdyż data ta, niezależnie od wcześniejszych w starszym pokoleniu rozbieżności, stała się dziś dla Polaków, zwłaszcza młodego pokolenia, symbolem, który w Polsce Ludowej w latach stalinizmu próbowano puścić w niepamięć, bez skutku.

Nie, 11 listopada nie koliduje z datą 22 lipca. Dodaje jej blasku, ukazuje, że Polska odrodzona w 1918 roku nie zginęła. Ponownie po II wojnie światowej powstała do niepodległego bytu, trwa i trwać będzie, bo taka jest wola narodu polskiego, a świat współczesny w tym miejscu Europy Polski potrzebuje.

Święto 11 listopada nigdy nie zostało zniesione. Nie trzeba więc, sądzi, uchwały Izby w tej sprawie. Wnoszę więc, ażeby rząd oświadczył, iż przywraca się dzień 11 listopada jako święto narodowe i państwowe Rzeczypospolitej Polskiej. Jestem przekonany, iż taka proklamacja spotka się z uznaniem społeczeństwa i sympatią dla rządu.

Areluję o to, o 11 listopada, o święto państwowe w tym dniu.

## ODPOWIEŹ MINISTRA JERZEGO SZRETERA (RESORT PRACY I POLITYKI SOCJALNEJ) NA POSIEDZENIU SEJMU 10 XI 1988 R.:

**W**ZWIĄZKU z wnioskiem, zgłoszonym przez obywatela posła Bendera, premier upoważnił mnie do poinformowania obywateli posłów, że Rada Ministrów na najbliższym swym posiedzeniu zajmie stanowisko wobec tej propozycji. Premier, nie uprzedzając decyzji Rady Ministrów, pragnie jednak przypomnieć, że przekształcenie jednego dnia roboczego w dzień wolny oznacza, że gospodarka narodowa traci, traciłaby w warunkach roku ubiegłego dochód narodowy wartości 56 miliardów złotych, a dziś można mówić o kwocie rzędu 80 miliardów, czyli 2 tysiące złotych na każdego mieszkańca naszego kraju.

Warto też pamiętać, że dziś mamy w roku 38 wolnych sobót oraz 8 dni świątecznych, w tym dwa związane ze świętami państwowymi. Skurczył się nam w latach osiemdziesiątych czas pracy, a jednocześnie bardzo wiele zakładów pracy w usługach i produkcji nie pracuje pełną mocą w związku z brakami w zatrudnieniu. W sumie więc, rozpatrując propozycję posła Bendera, zmierzającą do godnego uczczenia ważnej w życiu narodu daty 11 listopada, Rada Ministrów będzie musiała rozważyć wszystkie, także ekonomiczne, konsekwencje takiej decyzji.

## Z WYSTĄPIENIA POSŁA-SPRAWODAWCY, ELŻBIETY GACEK, NA POSIEDZENIU SEJMU 15 II 1989 R.:

**P**ROJEKT ustawy o ustanowieniu narodowego święta niepodległości 11 listopada, który mam zaszczyt w imieniu Komisji Administracji, Spraw Wewnętrznych i Wymiaru Sprawiedliwości oraz Prac Ustawodawczych przedstawić, stanowi realizację zgłaszanych postulatów o restytucję tego święta i wychodzi naprzeciw oczekiwaniom milionów Polaków. Data ta w naszej świadomości narodowej: ma rangę symbolu i to dwojakiego.

Po pierwsze — wynikającego ze znaczenia tego dnia jako ważnego ognia w naszej świadomości narodowej i w naszej tradycji państwowej. Z przekonaniem, iż jest to dzień odzyskania niepodległości Polski, wyrastały i zdobywały świadomość narodo-państwową pokolenia Polaków przed i po II wojnie światowej.

Po drugie — wiąże się z wszystkimi konsekwencjami powrotu do święta państwowego ustanowionego w 1937 roku i zniesionego w 1945 roku, a więc afirmacją jego historyczno-państwowych treści. Jest to zarazem przyznanie, iż nie uległy zapomnieniu wiążące się z datą wydarzenia objęte przez lata znową milczepia i białych plam i że przetrwało to wszystko w pamięci narodowej jako patriotyczna legenda. [...]

Narzucony w okresie stalinowskim schemat prezentacji ocen najnowszej historii wiązał uzyskanie niepodległości Polski ze zwycięstwem rosyjskiej rewolucji, z pomniejszeniem osiągnięć i wysiłków samych Polaków. [...]

Niech dobro wspólnej polskiej ojczyzny, wierna służba własnemu państwu, obrona suwerennych inte-

resów narodowych oraz polskiej racji stanu stanowi dobro nadrzędne jednoczące naród polski, bez względu na wszystkie wewnętrzne podziały, animozje, uprzedzenia środowiskowe i polityczne, czy wyznawany światopogląd. Propagowaniu tych właśnie wartości winny służyć obchody święta niepodległości.

## WYSTĄPIENIE POSŁA RYSZARDA BENDERA NA POSIEDZENIU SEJMU 15 II 1989 R.:

**P**ROSZE pozwolić, że podzielę się z Wysoką izbą radością nie tylko moją — otrzymałem w tej sprawie wiele listów — że znowu będziemy mieli 11 listopada jako święto państwowe.

Kiedy 9 listopada ub. roku tutaj, w Sejmie, upomniałem się o to, sprawa nie była prosta. Pan minister Jerzy Szreter podniósł wówczas wiele obiekcji, powiedzmy wyraźnie — miałych, niewspółmiernych do wagi sprawy. Cieszę się, cieszyć się należy, że rząd zmienił zdanie, a komisje sejmowe skorygowały pierwotny projekt i większością głosów opowiedziały się za 11 listopada jako świętem państwowym, wolnym od pracy.

W tej sytuacji mało istotna jest procedura. Fakt, że święto to nigdy przez Sejm nie było zniesione, a teraz uchwalamy je, tworzymy ustawę. Cóż, nawet przysięgę małżeńską ponawia się często po 25 czy więcej latach. Niechże więc Sejm uchwali ustawę, że 11 listopada znowu jest w Polsce świętem państwowym.

## USTAWA Z 15 LUTEGO 1989 R. O USTANOWIENIU NARODOWEGO ŚWIĘTA NIEPODLEGŁOŚCI:

Dla upamiętnienia rocznicy odzyskania przez Naród Polski niepodległego bytu państwowego oraz walk pokoleń Polaków o wolność i niepodległość stanowi się, co następuje:

Art. 1. Dzień 11 listopada jest uroczystym Narodowym Świętem Niepodległości.

Art. 2. Dzień 11 listopada jest dniem wolnym od pracy.

Art. 3. Ustawa wchodzi w życie z dniem ogłoszenia.

Ustawa została przyjęta przy 4 głosach sprzeciwu i 16 wstrzymujących się.

(Red.)

## Uczyli się dla Polski i o nią walczyli WOJSKOWA KADRA SZKOLNA

**U**PROGU niepodległości w 1918 roku przeszła przez Lublin fala wystąpień skierowanych przeciwko austriackiemu okupantowi, w których hasła narodowowyzwoleńcze przeplatały się niejednokrotnie ze społecznymi. Na przełomie października i listopada tego roku Lublin był miejscem ważnych dla kraju wydarzeń politycznych. 31 października zaczęto rozbrajać żołnierzy austriackich. 3 listopada rozbrojono całkowicie austriacki garnizon lubelski. Utworzony 7 listopada Tymczasowy Rząd Ludowej Republiki Polskiej ogłosił utworzenie demokratycznego państwa polskiego oraz zapowiedział przeprowadzenie szeregu reform gospodarczo-społecznych. Prowadzona z Rosją Radziecką wojna o ustalenie wschodniej granicy państwa spowodowała, że Lublin znalazł się w strefie bezpośrednich działań wojennych w połowie 1920 roku.

Austriackie władze okupacyjne nie ingerowały zbyt w sprawę lubelskiego szkolnictwa. W założonej w 1915 roku Szkole Realnej im. Hetmana Jana Zamoyskiego w Lublinie, podobnie jak w innych szkołach lubelskich, w programie zajęć znalazły się przedmioty ojczyście: język polski, historia i geografia. Umożliwiły one kształtowanie uczuć patriotycznych młodzieży.

Sytuacja polityczna i ogólna atmosfera emocjonalno-patriotyczna spowodowały wzrost aktywności politycznej młodzieży. Uczniowie najstarszych klas lubelskich szkół średnich wstępowali do konspiracyjnej Polskiej Organizacji Wojskowej. W jej szeregach znaleźli się także uczniowie Szkoły Realnej.

W 1917 roku komenda POW utworzyła w męskich szkołach: Lubelskiej im. St. Staszica, Handlowej im. Vetterów, Realnej im. J. Zamoyskiego kompanie organizacji zwanej Wojskowa Kadra Szkolna. W szeregi organizacji przyjmowano uczniów klas szóstych, siódmych i ósmych. Cztery kompanie tworzyły batalion. Komenda POW kierowała działalnością WKS i wyznaczała uczniów — peowiaków na stanowiska dowódców poszczególnych jednostek.

W przyjętej numeracji kompania Szkoły Realnej otrzymała numer 4. Komendantem kompanii był uczeń Szkoły Realnej, Antoni Bukowski. Na czele poszczególnych plutonów stali peowiacy: Kacper Kantorowicz, Romuald Wojewódzki, Piotr Woźniak, Czesław

Kunciewicz, Marian Skup. W skład każdego plutonu wchodziły 4 sekcje po 8 szeregowych każda. Na szkolnej czapce kadrowiacy nosili po lewej stronie podobiznę Marszałka J. Piłsudskiego, a po prawej cyfrę kompanii „4”. Wyposażenie kadrowiaka stanowiły: pas, manierka, plecak, bagnet, a na służbie karabin i z ładownicą. Obowiązującą formą zwracania się był strzelecki tytuł „obywatel”.

Musztry typu wojskowego odbywano w rannych godzinach przed lekcjami na placu szkolnym, w Saskim Ogrodzie lub na Czechówce. Natomiast wykłady z dziedziny wojskowej oraz poznawanie broni przeprowadzano w budynku szkolnym przy zachowaniu należytej ostrożności przed austriacką żandarmerią.

Zakres działalności WKS, poza wykładami, poznawaniem broni i ćwiczeniami wojskowymi, obejmował współdziałanie z POW w zdobywaniu broni, transportie nielegalnej poczty, w akcjach i manifestacjach skierowanych przeciwko austriackiemu okupantowi. Podczas jednej z akcji, związanej z transportem broni, zginął od kuli austriackiej na ulicy Lipowej w Lublinie uczeń Szkoły Realnej Stanisław Podberski i zaginął drugi uczeń, którego nazwiska nie udało się dotąd ustalić.

Kadrowiacy wzięli udział w rozbrojeniu okupacyjnych wojsk austriackich w pierwszych dniach listopada 1918 roku. Odebrany Austriakom sprzęt wojskowy, magazyny i koszary zabezpieczali służbą wartowniczą do połowy listopada 1918 roku, tj. do czasu zastąpienia ich przez oddziały tworzącego się wojska polskiego. W marcu 1919 roku pełnili służbę wartowniczą w związku z odejściem garnizonu lubelskiego na front.

W czerwcu 1919 roku odbyła się ostatnia pożegnana zbiórka batalionu, w czasie którego członkowie WKS otrzymali pamiątkowe kfiży z napisem: „1917—1919 KS”.

Należy odnotować, że uczniowie Szkoły Realnej brali także udział w działalności Pogotowia Młodzieży, utworzonego w Lublinie z inicjatywy Naczelnego Inspektoratu Harcerstwa Polskiego. W ramach Pogotowia pełnili pomocniczą służbę obywatelską w zakresie utrzymania ładu, porządku i bezpieczeństwa publicznego od 9 listopada 1918 roku do stycznia 1919 roku.

Marian Giermakowski  
Lublin

## PO OWOCACH POZNACIE ICH

Michał Zieliński

**S**PORO osób pyta mnie, co sądzę o programie gospodarczym rządu. Pytania te nasiliły się ostatnio w związku z prowadzoną przez „Politykę” ankietą na ten temat. Tak zwanego przeciętnego czytelnika zdumiewa, iż publikowane tam wypowiedzi zawierają oceny krańcowo różne. „Co o tu chodzi? — zapytano mnie wręcz. — Czy program ten jest tak niejasny, iż dopuszcza tak rozbieżne oceny; czy ekonomiści są profesją tak sprzeczającą, iż zawsze znaleźć można jednych, którzy stwierdzą — czarne, podczas gdy drudzy obstawiają białe; czy też wreszcie ekonomia to taka »nauka«, w której naprawić nikt nie wie?”

Jest to dobre pytanie, gdyż — sądzę — trafia w sedno społecznych oczekiwań i ciekawości. Nie mam jednak nań dobrej odpowiedzi. Jak zwykle w kwestiach złożonych, we wszystkich wyrażonych wątpliwościach jest trochę racji.

Program Balcerowicza, w pewnym sensie, nie jest jednoznaczny. „W pewnym sensie” oznacza tutaj, że zawiera on jasną i jednoznaczną wizję docelowego modelu czy mechanizmu gospodarczego. Stosując definicję ostensywną (czyli przez pokazanie palcem — „koń, jaki jest, każdy widzi”), model ten ma być taki, jak w istniejących zachodnich gospodarkach rynkowych.

Program zawiera również odpowiedź na pytanie o tempo dochodzenia do gospodarki rynkowej i odpowiedź ta brzmi — jak najszybciej. „Jak najszybciej” nie oznacza jednak ani „natychmiast”, ani „jutro”, i to jest pierwsza zasadnicza różnica, jaka różni program Balcerowicza od programu amerykańskiego profesora, próbującego zbawić naszą gospodarkę Jeffreya Sachsa.

W programie wyjaśniona jest również metoda dochodzenia do celu. Określić ją można poprzez dwie cechy działań: przy maksymalnym konsensusie społecznym i przy minimalizacji kosztów społecznych. I to jest względem „programu Sachsa” różnica druga. Maksymalny konsensus nie oznacza, że program musi być popierany przez wszystkich, podobnie jak minimalizacja kosztów nie oznacza, że nikomu nie spadnie z głowy (do serwowanej przez ministra Kuronia nicodplątnej zaupy) ani jeden włos.

Jeżeli rozmawiamy poważnie, to — raz na zawsze — powiedzmy sobie, iż nie ma takich przeobrażeń, na których natychmiast zarobią wszyscy i wszyscy będą je popierać. Wybory w ekonomii są dobre wtedy, jeżeli bilans korzyści i strat jest dodatni.

Dokończenie na str. 11



## Gorące Wilno

**-W WILNIE Mickiewicza szukać nie trzeba, on jest! — uśmiecha się elegancki taksówkarz w dżinsach i modnej koszulce. Jest. Podpisany jako „Adomas Mickevičius”, ale jest. Stoi nad brzegiem Wilejki, obok gotyku św. Anny, wsparty łokciami na piękniejszej kolumnie, patrzy w stronę zaułku Zamkowego (litewska nazwa: Pilies), gdzie kiedyś mieszkał. Pogodna twarz Poety, uwieczniona w granitowej bryle, w niczym nie przypomina bolesnego pielgrzyma — wygnańca, proroka przygniecionego ciężarem trosk na cokołach Warszawy, Krakowa, Paryża czy Lwowa.**

— Rzeźbiąc Mickiewicza, starałem się go przedstawić tak, jak zapisał się on w pamięci Litwinów. Tu u nas był młodym człowiekiem... — mówi profesor Wileńskiego Instytutu Sztuk Pięknych, Gediminas Jokubonis, człowiek skromny i serdeczny, bez cienia megalomanii właściwej wybitnym artystom. Zdobył uznanie rzeźbą Lenina, która w 100-lecie urodzin twórcy Kraju Rad odłana w brązie stanęła w Moskwie. Potem stworzył monumentalną rzeźbę Fryderyka Engelsa, wystawioną nad brzegiem Wołgi, w mieście Engels. Ostatnio utrwala najwybitniejszych ludzi sztuki, stworzył pomnik poety Maronisa.

— Pociągają mnie tematy tchnące spokojem wielkości. Można to skonkretyzować po prostu tak: wyobraźmy sobie żywioł, na przykład huragan, który wszystko zmiata, łamie, unosi. Straszne? Oczywiście. A wyobraźcie sobie zwykłą rzecz: woda zalewa. Spokojnie. Nieubłaganie. Czy to nie jest najstraszniejsze? Chciałem powiedzieć, że nie tylko to, co się szarpie, targa, co jest dynamiczne, jest wielkie. Podobnie i człowiek. Istnieje hałaśliwa energia, ale istnieje też spokój siły... Sentyment do Mickiewicza miałem jeszcze od lat szkolnych. On we mnie siedział, był jednym z tych, którzy zasłużyli na upamiętnienie. Wszak „Pan Tadeusz” zaczyna się od słowa „Litwa”... Nie czekając na zamówienie, przystąpiłem do pierwszych szkiców pomnika. Kiedy w roku 1978 zapadła decyzja, byłem już gotowy do pracy. Model w skali 1:1 był gotowy w roku 1980. Potem długo poszukiwałem odpowiedniego kamienia — monolitu, wreszcie zna-

lazłem taki granit koło Sarn pod Równem, na Ukrainie...

Kiedy pytam o uroczyste przecięcie wstęgi, profesor uśmiecha się z zażenowaniem, wreszcie wyjaśnia, że przecięcia wstęgi nie było, bo w tym czasie Andropow wydał ustawę o zabytkach: wstrzymać stawianie nowych pomników, najpierw zakonserwować wszystkie stare! Ale Mickiewicz był już ukończony; wstrzymać za późno, konserwować za wcześnie.

— Po prostu, postawiliśmy go i już, tak niezbyt oficjalnie, w niewielkim gronie miłośników i znajomych. Drewniany wariant pomnika powędrował na wystawę do Moskwy, a później został zakupiony przez Galerię Tretiakowską...

Intryguje mnie przełamanie kolumny, na której wspierał się wieszcz. To symbol czy techniczna konieczność?

— To przełamanie było mi potrzebne ze względów kompozycyjnych, by naruszyć linię pionu. Ale sensów tu można znaleźć wiele, można w tym widzieć drogę poety, jego dwie ojczyzny, dolę wygnańca. Stojąc przed pomnikiem, ludzie będą też pewnie się zastanawiać, skąd na rękę poety płama — znamię. Ujawniła się ona przy obróbce kamienia. Chciałem nawet zmienić kamień. Nie zdecydowałem się jednak. Pomyślałem — niech będzie taki kamień, jaki los przeznaczył. Ludzie będą szukali różnych odpowiedzi, na ich interpretację twórca nie ma wpływu. Pomnik bardzo szybko staje się anonimowym, wchodzi w krwiobieg miasta, otoczenia, twórcę usuwa się w cień... Pomnik powinien wyrażać nie tylko poglądy i wyobrażenia twórcy, ale i ogół społeczeństwa. Nie jest to wyobrażenie moje o Mickiewiczu, lecz nasze. Człowiek, patrząc na pomnik, powinien w nim znaleźć coś własnego, swojego. Nie na darmo mówi się, że pomniki wznosi naród...

**M**ISTRZ włącza przycisk na końcu elektrycznego kabla, połączonego z gipsowym modelem rycerza na koniu. Gipsowy jeździec zaczyna się powoli obracać...

— Robię ten pomnik na zamówienie Ministerstwa Kultury ZSRR. Jest taka legenda o księciu Gedyminie. Polowanie było udane, zabił tura, rozłożyli się na noc obozem. Książę miał sen: na górze stoi wilk w żelaznej zbroi i bardzo głośno wyje. Rano kapłan sen wytłumaczył: panie, na tym wzgórzu trzeba

postawić nową stolicę; o tym mieście sława będzie tak głośna, jak wycie żelaznego wilka. Dlaczego taka koncepcja: jeździec patrzy daleko w dal, jakby zaglądał w przeszłość, rumak w galopie, oparty przednimi kopytami o trzy pędzące psy myśliwskie? Dlaczego akurat tak? Oglądałem różne pomniki z końmi. Wszyscy wilmianie chcą, by i w ich mieście był jakiś pomnik konny. Dlaczego? Chyba dlatego, że ludzie kochają konia. To symbol siły, bohater-

nika był generał Lucjan Żeligowski, a sekretarzem Stanisław Lorentz. Żeligowski — jak wspomina po latach St. Lorentz — nie miał własnego zdania, wierzył sekretarzowi i Ferdynandowi Ruszczykowi, osobistości nr 1 przedwojennej wileńskiej kultury. Zdecydowaną większością 85 głosów, przy 5 przeciwnych, wybrano projekt prof. Henryka Kuny, w marcu 1932 roku. Cokol z 12 rzeźbionych płyt, zawierających sceny z „Dziadów”. Pomnik miał sta-

# SZUKAM

## Henryk Makarski

stwa, przyjaźni, no i piękna. Znalazłem przykłady historyczne, że konie przechodziły przez wieki bezpiecznie, nietknięte. Na przykład rumaki Lizypa, zrobione 600 lat p.n.e. Nie zniszczył ich Konstantyn Wielki, przywiózł do Konstantynopola. Tam stały wiele lat, aż je Rzymianie postawili na placu Sw. Marka. Chciał je wywieźć Napoleon, ale szybko wrócili do Rzymu. Marek Aureliusz stał na pozłacanym koniu. Barbarzyńcy nie wiedzieli, kto to na koniu siedzi, ale uszanowali konia. Czym więc jest koń dla człowieka? Na cokole zawarłem motywy snu Gedymina...

Rodzina też uprawia sztukę, rozwija swoje uzdolnienia artystyczne. Zona prof. Jokubonisa wykonuje gobeliny, córka jest rzeźbiarką, młodszy syn kształci się na rzeźbiarza. Tylko ten starszy — odmieniec, jest lotnikiem. Profesor był w Polsce, nawet przejeżdżał przez mój Lublin, w drodze z Gdańska do Krakowa. Nawiasem mówię, był w szczególnym okresie: sierpnie 1980...

Otrzepuje białe od gipsu ręce i ze ściany pracowni zdejmując kalendarz ze swoim pomnikiem Mickiewicza, wręcza na pamiątkę, z autografem. Patrzę na ten kalendarz i usiłuję policzyć, ile to lat czekało Wilno na pomnik Adama. Wychodzi mi, że 126.

W 1931 roku nawet ustawiono już makietę według kubistycznego projektu Pronaszki, ale wielka powódź zmyła ją bezpowrotnie. Przewodniczącym komitetu budowy następnego pom-

nać na placu Orzeszkowej — natchniony wieszcz na bardzo wysokim cokole. Jeszcze pomnika nie było, a już wściekle zaatakował go Cat-Mackiewicz. Realizacja przewlekła się bardzo. Wielki posąg do odlewu w brązie Kuna wykonał nie w glinie, lecz w drewnie, bo glina w tak olbrzymim posągu nie zyschała się zbyt szybko. Makietę drewnianą posągu znajdowała się już w odlewni Kranza i... przyszedł wrzesień 1939 roku. Odlewitwa spłonęła, a w niej — Mickiewicz. W czasie okupacji prof. St. Lorentz w porozumieniu z ukrywającym się w Otwocku prof. Kuną przewiózł jedną płaskorzeźbę w granicę do Muzeum Narodowego. Ta granitowa jest dziś w Wilanowie, a jej odlew gipsowy w magazynie rzeźb Muzeum Narodowego.

Łącznie w cokole pomnika w kształcie Światowida miały być trzy kondygnacje płaskorzeźb ze scenami z „Dziadów”, po 4 w kondygnacji, razem 12, a ponad nimi jako głowica cokołu — czterostronna twarz Światowida. Pozostałe 6 płyt (tylko tyle zdążył wykonać w granicę prof. Henryk Kuna) od 40 lat poniewiera się na trawniku przed Instytutem Sztuk Pięknych w Wilnie. Profesor G. Jokubonis pragnie złożyć hołd tradycji i spróbować wkomponować je w otoczenie stojące już przed kościołem św. Anny pomnika. Nie można ich ustawić pionowo, bo są zbyt duże: 2 metry wysokości i 1,40 m szerokości, więc postanowił położyć je skośnie. Czy to nie jest mierzenie sił na zamiary? — zaniepokoiłem się po mickie-

## Azerbejdżan

**Z**APROSIENIE przychodzi w chwili, kiedy wyjazd już spisaliśmy po stronie spraw nieodbytych. Pozostały dwa tygodnie na załatwienie ostatnich formalności, dokonanie niezbędnych zakupów itp. Czternaście dni niby dużo, ale wprowadzone z nagłą nowo święto do kalendarza zabiera tych dni trzy, odliczyć soboty i niedziele — tygodnia nie ma. W zamojskim banku zabrakło rubli, pędzę do Lublina — przed kasami tłumy. Między niedzielą a nowym świętem pracuje tylko oddział PKO na Czechowie. Zjawiam się godzinę przed otwarciem kas, ale już jestem poza drugą dziesiątką, oczywiście nie zalupuję się. Zdeterminowany zaczepiam dyrektora:

— Czy bank w Lubartowie dziś pracuje?  
— Nie. Dzisiaj tylko my. Kiedy pan wyjeżdża?  
— Za trzy dni.  
— Proszę zająć pojutrze, może coś uda się załatwić.

Nareszcie jeden bezinteresowny, porządny. Nauczony doświadczeniem, przychodzi cztery godziny przed otwarciem kas i... jestem trzeci. Ludzie stoją od piątej rano. Z entuzjazmem przypominam się dyrektorowi.

— Pan chciał ruble? Proszę czekać, na pewno coś będzie.

Po dwóch godzinach pojawia się informacja na drzwiach: jest pięć pełnych wynian. Nawet gdyby ci dwaj jechali z rodzinami, powinienem swoje dostać.

Piąta godzina stania, nowy stres: jak inni z kolejki, nie mam znacząca w książeczce walutowej. W żadnej z kas PKO takiego nie dostanę, wyszły. Jeżeli baba się uprze... Blyskawicznie przygotowuję błagalną inwokację, tudzież karkołomny monolog z przewidywanym wpisaniem się do książki zażaleń, a nawet trzaskaniem drzwiami. Baba w osobie oschłej (zmęczenie) dziewczyny po prostu mówi:

— Wklei pan sobie znaczek, inaczej po raz drugi nie zrobię panu wymiany.

W tym momencie czuję się jakby rzeczywiście „nasza partia” ten wyjazd mi dała (a dajemy ludziom pracę, a mieszkanią, a zapewniamy możliwości...).

Osobny pomnik w formie akapitu należy się „Orbisowi” i kolei. Chcę za złotówki kupić kilet z Chełma do Baku, ale zamojski oddział „Orbisu” może sprzedać jedynie do Kijowa — taką umowę sobie zawarli z Rosjanami, że kto chce rozpocząć podróż pociągiem relacji Chełm — Kijów, dojeżdża do tego

miasta za złotówki. Dalej rosyjskie koleje życzą sobie opłat w rublach. Oddział lubelski „Orbisu” sprzedać biletu nie może bez konsultacji z Warszawą, tam nikt telefonów nie odbiera — strajk. Na pewno bilet dostanę w kasie trakcyjnej międzynarodowej na dworcu głównym. Na miejscu kasjerka oferuje także tylko do Kijowa, natomiast „Orbis” mi sprzeda (i to na pewno), gdzie tylko sobie życzę. Próbowujemy jeszcze raz w Zamościu — zmieniła się pani obsługująca klientów i bilet będzie do mabycia, do samego Baku! Należy tylko przyjechać jutro z paszportami. Następnego dnia jednak paszporty muszą być obecne razem ze

obywatel mógł wyjechać nawet do najbardziej zaopiecznionego kraju, musi poddać się kontroli dwukrotnie, na granicy jest trzecia!

Celnicy patrzą niedowierzająco: tylko dwie torby? Przyrzekamy, że następnym razem obciążymy się podwójnie.

**D**WORZEC w Kijowie niczym mrowisko. Nie przeszkadza to gipsowemu, pomalowanemu na kremowo Leninowi, który z wyżyn klatki schodowej niestrudzenie macha podróżnym. Zawiadamiamy Baku, że nasz pociąg przyjeżdża za dwie doby i

# MIĘDZY PRAWDĄ

## Adam W. Kulik

mną w lubelskim oddziale PKO, bez nich nie ma mowy o dokonaniu wymiany.

Tak więc sterzę swoich pięć godzin pod drzwiami PKO, żona pod takimiz „Orbisu” w Zamościu, i nie doświadczenie, prawa fizyki nie ulegają chęciom. Pół godziny po oficjalnym zamknięciu godzin urzędowania, urzędniczka z wielką łaską, za moje własne pieniądze sprzedaje bilety nie tam, gdzie chcę, ale gdzie jej wypada.

Ministerialny geniusz — to jest inwokacja uduchowionego petenta — z piętnem stalinizmu na czole! Do czego potrzebny ci mój paszport przy wymianie jednych pieniędzy na drugie? Lub przy kupowaniu biletów. A jeżeli ja, wykupując cały wagon, chcę tą drogą dotować zrujnowaną polską kolejkę? (Przed wojną w ścisłej europejskiej czołówce, jeszcze w latach pięćdziesiątych na czwartym miejscu w Europie, na którą pozycję dziś zapędziły ją rewolucyjne przepisy?)

Jest i inny aspekt sprawy: okazując dokument, za każdym razem jestem kontrolowany. Tak więc żeby

pędzimy po bilety — za godzinę odjazd. Gapiąc się na świstki, którymi wymachuje żona, po raz drugi w krótkim odstępie czasu stwierdzam zaistnienie cudu. Bardziej racjonalnie nastawiony czytelnik domysli się, że swoją rolę odegrała tu kobieca pomysłowość i pomoc rodaków okupujących teren przy kasie, ale ja wkładam to pomiędzy imponderabilia.

Konduktorka spogląda ze zdziwieniem:

— Polacy? Taki mały bagaż?

Tym razem próbuję się zawstydzić, nie wychodzi, śmieje się. Wewnątrz ścisk, zaduch. Wagon bez przedziałów, z piętrowymi łózkami przy bocznych ścianach i wzdłuż przejścia, którego przecież korytarzem nazwać nie można. Odnajdujemy swoje miejsca, na szczęście na piętrze, ale przy przejściu. Ludziska ciekawo, szybko łapiemy kontakt. Naprzeciw zasuszonej, śniady facet koło pięćdziesiątki z lubością ciągnie piwo.

— Wy z Polski?

Na „tak” wyciąga rękę z kciukiem skierowanym do góry, jakby chciał powiedzieć: tak trzymać. Jest z Azerbejdżanu.

— My wiemy, co się dzieje w Polsce: „Solidarność”. Lech Wałęsa — butelka piwa płynnie w moim kierunku.

Rozmawiamy po rosyjsku. Drugi sąsiad, z charakterystyczną dłonią bez czterech palców, z napięciem wpatruje się w naczynie, z którego często popijamy



wiczowski. Tyle lat nikt nie śmiał tych płyt przywrócić ludzkim oczom...

**Z**NÓW stoję przed pomnikiem. Podaję za wzrokiem Mickiewicza. Jego dom-muzeum zamknięty naглуcho, ul. Pilies 11, można sprawdzić... To skandal, by w ciągu 40 lat swego powojennego istnienia muzeum przez ponad 10 lat było nieczynne. Otwierano je i zamykano wielokrotnie, remonty prowadzono wadliwie, sól i wilgoć nadal zżerały ściany. Wreszcie

Wańkowicza, późniejsze listy i autografy Adama, fotografie jego rodziny i pamiątki po Tomaszu Zanie i innych kolegach. Mickiewicziana z okresu międzywojennego stanowią — zdaniem znawców — przeszło 400 pozycji. Do nich należy doliczyć eksponaty darowane po II wojnie, np. wiele wydań przekazanych przez Uniwersytet Warszawski, czy przysłaną z NRD piękną płaskorzeźbę Adama, wykonaną ongiś na zamówienie Goethego...

Kultury Litewskiej SRR. Uniwersytet, który tak się bogato i złoto odmiodził na swoje 400 urodziny, zostawił w roli zaniedbanego pasierba maleńki obiekt, należący do wytwornego w swym wystroju Muzeum Nauki (były kościół akademicki św. Jana) — pisze jedna z pracowniczki nauki.

„Myślałem, że po tych publikacjach coś się zmieni — zwierza się emeryt — ale nic się nie zmieniło, niestety. Sam

niezdrowe domysły krążą coraz szybciej. Krążą wokół muzeum i innych spraw, związanych z szacunkiem dla imienia Mickiewicza w Wilnie, np. wspomniane już granitowe płaskorzeźby prof. H. Kuny, zarastające w poniewierce chwastami.

Fachowcy dziwią się coraz bardziej. Na tle tak poważnych inwestycji, jak odbudowa dawnego Arsenalu, przewlekane się restaurowania trzypokojowego domu-muzeum wygląda niepoważnie i świadczy o lekceważeniu pamięci Mickiewicza, o ile wręcz nie o świadomie demonstrowanej złej woli...

Wreszcie bomba wybuchła! W końcu 1988 roku zorganizowano tzw. okrągły stół z udziałem przedstawicieli KC KP Litwy, prominentów ministerialnych i uniwersyteckich. Na najwyższym szczeblu nastąpiła kurtuazyjna wymiana zdań, solennych obietnic, że w styczniu rozpoczną się poważne prace remontowe, tym razem na pewno... Podobno opracowano już projekt (maj 1989) i... znowu nic się w zaułku Zamkowym nie dzieje. A przecież chodzi tylko o niecałe 40 m kw. powierzchni pomieszczenia, w którym największy polski poeta pisał piękne wiersze i przepisywał „Grażynę”...

(Dokończenie nastąpi)

# MICKIEWICZA

w lutym 1987 roku z powodu niefrasobliwości gospodarzy, personelu technicznego Uniwersytetu Wileńskiego, wybuchł pożar. Ogień wdarł się do pierwszego pokoju, ucierpiał obraz, m.in. pędzla W. Wańkowicza oraz kopia portretu A. Mickiewicza, parę cennych sztychów z „Albumu Wileńskiego” K. Wilczyńskiego, nieznacznie uszkodzeniu uległy też meble. Przystąpiono do nie kończącego się remontu, znów beznadzieja...

Znawcy twierdzą, że wileńskie pamiątki po Adamie Mickiewiczu, będące w dyspozycji uniwersyteckiego Muzeum Nauki, są niebagatelnej wartości. Np. Lucjan Uziębło i Michał Brensztejn wspominają o płaszczu Adama, który był w posiadaniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk; o stoliku i fotelu, meblach używanych przez poetę w Kownie; o lasce poety, подарowanej prefektowi szkoły St. Dobrowolskiemu przed wyjazdem z Kowna. Wśród cennych pamiątek wymienia się autografy „Ody do młodości”, napisanej w Kownie w 1820 roku, z tekstem różniącym się od tekstu ogłoszonego później drukiem, oraz „Romantyczności”, powstałej również w Kownie, w roku 1821. Mówi się o sztambuchach Marii Siwickiej z Wierszami A. Mickiewicza (6 VIII 1824), Odyńca i innych osób. Uwzględnia się pierwsze wydanie wileńskie „Poezji” z 1822 roku łącznie z drugą edycją, do drukowaną nielegalnie bez wiedzy carskiej cenzury po wyczerpaniu się nakładu. Chodzi także o miniaturę poety, malowaną na skórze przez Walentego

Po co to wszystko wymieniam? W nadziei, że spuścizna po wielkim poecie ujrzy wreszcie światło dzienne, wydobycie z... No właśnie, nie wiadomo dokładnie, skąd...

— Kiedy byłem w Stambule — opowiada prof. Jokubonis — wstąpiłem do muzeum Mickiewicza w czasie, gdy było nieczynne, zgodnie z obowiązującym rozkładem. Wkrótce jednak z sąsiedniego domku wyszedł młody Turek z małym dzieckiem na rękach. Gestami wyjaśnił, że muzeum ma dzień wolny. Również gestami wyraziłem swoje niezadowolenie. Ku mojemu zdumieniu poszedł po klucze i — po prostu — otworzył przede mną drzwi! Po powrocie do Wilna wiele razy zaglądałem do domu w zaułku Pilies 11. Zaglądałem przez okno do środka, ale muzeum było stale zamknięte i nikt z kluczem się nie zjawił... — opowiada twórca pomnika Adama Mickiewicza.

**P**O pożarze muzeum miało być otwarte 1 marca 1987 roku. Otwarto je dopiero w rok później, na krótko pokazano okrojona wystawę „Mickiewicz a Litwa”, po której później słuch zaginął. Muzeum znowu zamknięto naглуcho... Rozlegało się coraz więcej oburzonych głosów, drukowanych w „Czerwonym Sztandarze”: „[...] jeżeli uniwersytet nie potrafił — bo nie chciał! — nic zrobić przez 40 lat, nie robi tego i przez wszystkie następne. Nie chcemy więcej czekać i wierzyć obietnicom. Jest to sprzeczne z przebudową! Muzeum niezwłocznie powinno być przekazane Ministerstwu

chętnie bym pomógł w czynie społecznym, by przyspieszyć ten skandal!”.

Nawet i pracownicy „Budimexu”, nie mogąc patrzeć na to, co się wyprawia z nieszczęsnym domem-muzeum Mickiewicza, zaproponowali swoją bezinteresowną pomoc, ale z braku projektu dobre chęci speszły na niczym. I tylko



Uniwersytet w Wilnie.

Fot. Danuta Rynkiewicz

— parno, w wagonie 35—40 stopni. W minutę po umyciu się jest się ponownie oblepionym potem.

— Sy-rop-a-na-na-sowy — sylabizuje — to po polsku! Jesteście Polakami? — przytomnieje.

— To ja mogę po polsku rozmawiać, ostatni raz mówił w tym języku w trzydziestym dziesiątym, pięćdziesiąt lat temu! Ja chodził siedem lat do polskiej szkoły we wsi Czubałe pod Tarnopolem, kończył w 1935. Znam polskie wiersze, piosenki.

Jego radość jest radością dziecka, wyrzuca z siebie byle szybko jak najwięcej. Płyną jedna za drugą:

— Jak było w latach trzydziestych, pamięta pan?

— Ja był pod Polską, niczego nie czulem. Tutaj zrobiono specjalną głodówkę.

— Wywieziono 15 milionów ukraińskich chłopów na Syberię.

— A ilu przepadło. Słyszał o czterdziestu milionach, a co pan, gazet nie czyta, nie słucha radia?

— Czytam.

— To co pan pyta, jak pan wszystko wie?

— Pytam o żywe słowo, gazetowe nie to samo.

— Słucham polskiego radia, od lat. Macie mądrych ludzi, prawdę mówią.

kich Ukraińców i Polaków? Zapominać nie wolno ani im, ani nam, ponieważ pamięć przestrzega przed popełnieniem starych błędów.

Problem Lwowa, na który wywołane są obie strony (u obu wywołuje nerwowe reakcje), nie wydaje się najważniejszy. Można by go próbować rozwiązać starym sposobem zachodnich demokracji, przyznając miastu ten rodzaj autonomii, jaką ma Luxemburg, Lichtenstein, Monaco... Jest to o tyle proste, że Lwów jest przede wszystkim miastem lwowian, a dopiero później Ukraińców, Polaków, Żydów, Rosjan, Niemców, Ormian i Bóg wie kogo jeszcze. O korzyściach politycznych, kulturalnych, materialnych (strefa wolnocłowa) takiego rozwiązania nie ma co dywagować, wystarczy popatrzeć na znakomicie prosperujące państwa-drobiny Zachodu. O wszystko można je podejrzewać, lecz na pewno nie o surrealizm.

Jeżeli chcemy odgradzać się granicami, róbmy to przynajmniej z głową — Polacy i Ukraińcy mają ziemi dosyć, można sypać solidne miedze. To jest rozumowanie naiwne, powiedzą mędrcy. Może, po upływie kilkuset lat, i tak zrobimy to samo, co mądrzejsza część Europy będzie miała za lat dwa: na tym starym, steranym kontynencie wszyscy będziemy u siebie. Dziś, tutaj, tego sobie nie uświadomiamy, ale naprawdę tak właśnie jest.

Jan, bo takim imieniem go nazwałem (nie chciał się przedstawić), z nowym zapasem energii przystępuje do gry:

— Jeszcze panu powiem wiersz: „Burek”. — I to nie czekając na zachętę, sypie:

Wer — wer Burek, chódzies brzydki,  
myślisz, że ja boję się?  
Ej, ej Jasiu, porzuć zbytki,  
jeśli wrwie — będzie źle.

Burek wrześnie, tańcuch trzaśnie,  
caj zębami, Jasio w krzyk!  
Gwałtu! Rety! Aj, aj, uj!  
I majteczki w kawaleczki,  
i coś jeszcze. Ot masz Jasiu: zyg-zyg-zyg.

— Za Gorbaczowa davaliby ziemię — zamyśla się — ale nikt nie chce brać i ciężko pracować. Teraz wszyscy uczą się i chcą chleba lekkiego, nikt o ziemi nie chce słyszeć. Ale przyjdzie pora, kiedy wszyscy się za nią wezmą. Do dziesięćdziesiątego pierwszego roku wszystko zmieni się. Ja czytam pismo.

— Będzie wojna?

— Zmieni się bez wojny. Jak mówi ukraińskie przysłowie: przyjdzie wiosna i drzewa zakwitną.

(Koniec odcinka 1. — cdn.)

# A NIENAWIŚCIĄ

„Rozkwitały pęki białych róż”, „My pierwsza brygada”, „Ułani, ulani”...

— Mój nauczyciel był w Legionach, Polak. Uczyl nas tych pieśni. U nas Ukraińcy chodzą do kościoła. W święta pełny kościół ludzi, może dwadzieścia procent Polaków. Mnie dawali chorągiew do niesienia, ale wiedział, co robić, nie znam tych obyczajów, wymówiłem się ręką, niby że nie mogę nieść.

— Gdzie pan mieszka?

— W Krzemieńcu.

— Tam, gdzie urodził się Słowacki?

— Tak.

— Jakiej jest pan narodowości?

— Ja Ukrainiec. Dziadek mojej matki był Polakiem. W Krzemieńcu mało Polaków, ale przyjeżdża do naszego kościoła ksiądz z Chmielnicka (Chmielnickiego). Do kościoła chodzą Ukraińcy.

— Do cerkwi nie idą?

— Idą. A potem do kościoła, słuchać polskiej mowy. Kazanie ksiądz mówi po polsku i po ukraińsku. W mieście polskiej szkoły już nie ma, dzieci uczą się po ukraińsku.

— Może taka szkoła jest w Chmielnickim?

— A eto może być. Tam całe wioski zamieszkuje Polaki. Przed wojną — rozmarza się — każdy był u siebie. Płacił podatek i był chaziain. Tak było: jeżeli ja mam dobre konie, przyjeżdżają i dają nagrodę. A jak ktoś miał nędzne, przychodził policjant i mahajka: a ty czemu miał nędzne zwierzęta! Polacy to byli gospodarze.

— A w czas wojny?

— Bandy były, ubóstwo. Do czterdziestego dziewiętego żyło się jako tako.

— Potem Stalin zabrał się do roboty?

— Przychodził w nocy, atakowali domy i wywozili. Polacy i Ukraińcy żyli dobrze, ale w wojnę Niemcy zrobili tak, że zaczęli się mordować. Były ugrupowania polskie i ukraińskie, Niemcy mieli interes w tym, żeby wyniszczyły się wzajemnie.

— Jak to się zaczęło?

Rozpoczyna niechętnie, ale momentalnie ponoszą emocje. Opowiada szybko, w ekscytacji, kaleczony polski ustępuje miejsca ukraińskiemu:

— Zabrali Niemcy Ukraińców do policji na szusmanów. Potem chcieli ich wybić, był słuch, że ich wybijają. Uciekli. Na to miejsce Niemcy wzięli Polaków, wtedy Ukraińcy napadali na Polaków, a potem Polacy na Ukraińców. Polacy uciekali z Ukrainy, a Ukraińcy z Polski — niemiecka robota. Tak rozebrać, to ci niewinni i ci niewinni, do tej pory przecież żyli razem, w zgodzie. Ilu niewinnych ludzi przepadło...

Myślę nad tą opowieścią o znamionach ludowej klechdy i nie czuję potrzeby zadawania dalszych pytań. W tym, co mówił, przebijało poczucie winy, ale czy dziś rzucanie oskarżeń jest najważniejsze? O wiele donioślejsza wydaje się odpowiedź na pytanie, czy oba narody dojrzały do tego, by powiedzieć sobie prawdę. Jeżeli tak, to czy będą — mimo wszystkich wzajemnych uprzedzeń i niechęci — umiały zbudować na tym podwaliny pod nowe, lepsze życie wszyst-





Fot. Andrzej Polakowski

— Panie ambasadorze, kiedy przed dwoma laty przejmował pan Towarzystwo „Polonia”, wrócono panu szybko i gwałtowny koniec. Chodziło o pańskie koncepcje, zupełnie różne od tych, jakie wymyślano dla programowania i prowadzenia polityki wobec wychodźstwa i emigracji w latach poprzednich. Dziś natomiast mamy taką sytuację, że wydarzenia polityczne rozegrały się tak szybko i taka jest ich treść, iż Józef Klasa nie jawi się, jako taki znów reformator. Czy nie odczuwa pan, że historia jakby pana wyprzedziła?

— Proszę mi wierzyć, z Klasą jest jakby najmniejszy kłopot. Jeżeli mnie historia wyprzedziła, to mniej więcej po tej samej prostej, którą się poruszałem i poruszam. Znam osobiście wielu polityków i działaczy, których historia po prostu zepchnęła z ich drogi i ułokowała w rowie. Jeżeli ja mówiłem „tak” dla paszportów w domach i wolności wyboru miejsca zamieszkania, jeżeli nie plułem na nową emigrację, a starałem się ją zrozumieć, jeżeli szukałem form przeprowadzenia emigracji żołnierskiej za chamskiego i czynny haniebne, jakie wobec nich czyniono (łącznie z odbieraniem obywatelstwa i niewpuszczaniem do Polski), jeżeli twierdziłem, że Kościół odgrywa zasadniczą rolę w zachowaniu polskości naszej emigracji, jeżeli zwracałem się o pomoc Polakom w ZSRR, o których „zapomniano”, jeżeli mówiłem, że polska literatura jest jedna i zabiegałem o swobodny dostęp literatury emigracyjnej do kraju, to mogę mieć zwykłą ludzką satysfakcję, że czas pokazał, iż wszystko to miało sens i było potrzebne.

— Komu?

— Polakom. I tu i tam. Chciałbym jednak zdecydowanie zauważyć, że jeżeli publicznie występowałem w imię tych racji, to zawsze miałem świadomość, że nie ja jestem ich „odkrywca”. O tym się mówiło od lat.

— Ci, co mówili publicznie, kończyli różnie. Na przykład Edmund Jan Osmańczyk, który w Sejmie dopominał się o swobody paszportowe i normalizację stosunków z emigracją, w następnej kadencji już posłem nie został, bo uniemożliwiono mu ubieganie się o mandat.

— Niestety jest to bolesna prawda. Janek Osmańczyk, którego niedawno żegnaliśmy na zawsze, był człowiekiem mającym szczególny tytuł do wypowiedziania się o sprawach wychodźstwa. Sam był legendą Polaków w Niemczech, twórcą „Rodła”, żył tymi sprawami i przeżywał je szczególnie głęboko i emocjonalnie. Próbował także na miarę swych możliwości wpływać na formowanie nowej sytuacji prawnej emigracji oraz tych, którzy na nią chcieliby się udać, a także stwarzać rzeczywiste warunki partnerskiego ułożenia stosunków: kraj — emigracja (m.in. idea okrągłego stołu polsko-emigracyjnego sformułowana dużo wcześniej niż idea innego stołu o tym kształcie). Jest bolesnym paradoksem, iż w momencie, gdy zaistniały faktyczne warunki do realizacji planów, senator Osmańczyk, przewodniczący komisji stworzonej z jego inicjatywy do układania właśnie tych spraw — odszedł na zawsze.

— Mówi pan: „gdy zaistniały faktyczne warunki”. Cemu ich nie było? Czy świadomość tego, że Polacy zawsze byli narodem emigrującym, była aż tak niewygodna?

— Paradoks polegał na tym, że na nasz polski grunt usiłowano implantować niechęć do emigracji czy wręcz traktowanie tej części narodu polskiego jako zdrajców. To była tradycja zupełnie niepolaska, obca.

— Więc jaka? Lub może — czyja?

— Stalinowska. Korzenie sięgają początków tworzenia Rosji, Radzieckiej, gdy z zacięłą niechęcią odnoszono się do emigracji białogwardyjskiej, a potem to starannie podtrzymywano. W nowej rzeczywistości polskiej, po II wojnie, ten wzór stał się obowiązujący i u nas. Władza ludowa potraktowała emigrację wojenną, niepodległościową, tak jak Republika Rad „białą” emigrację. Była to niewybaczalna krzywda wyrządzona wielu bohaterom i patriotom. Krzywda, za którą dziś przychodzi się wstydić, ale przyzwyczajenie nakazuje wstrzymać się od oczekiwania zrozumienia czy tym bardziej przebaczenia ze strony wychodźstwa.

— Panie ambasadorze, ale przecież jeszcze do niedawna emigracja lat osiemdziesiątych była podobnie traktowana i przedstawiana w środkach masowego przekazu. Nie byli to wszakże „białogwardziści” Andersa i Maczka...

— Można tu mówić o zjawisku mitologizacji. Nowy porządek zawsze jest uważany przez jego sprawców za udany i zachęcający. Wszelkie więc dzia-

łóg człowieka do decydowania o swoim losie, w tym także do wyboru miejsca zamieszkania.

Jeżeli tak będziemy patrzeć, znacznie ważniejsze okaże się, jak emigrantów z krajem wiązać, jak czynić, aby czuli się i tam, i tu sobą. Polakami.

— Właśnie — jak?

— Przede wszystkim powinni mieć możliwość posiadania podwójnego obywatelstwa. Ustawa o obywatelstwie z 1963 roku takiej możliwości nie przewiduje. Musi być zatem zmieniona i to w taki sposób, aby niejako automatycznie ci, którzy zostali administracyjnie zmuszeni do „zrzeczenia się” obywatelstwa polskiego, mogli je „odzyskać” (naturalnie, jeżeli są tym jeszcze zainteresowani). Wszyscy Polacy w świecie powinni posiadać ten sam paszport polski. Powinien zostać zniesiony anachronizm paszportu konsularnego. Rzecz w świecie egzotycznie nas wyróżniająca. No i wreszcie winna ulec zmianie ustawa z 1920 roku, która bardzo utrudnia praktycznie posiadanie w Polsce nieruchomości przez Polonię. Szczególnie wykonawcze przepisy dewizowe. Tak jakby było możliwe zabranie na plecy — powiedzmy — dworku i wyniesienie go znad Wisły gdzieś tam do Kalifornii lub Kurytyby.

Trzeba zacząć od porządkowania podstaw prawnych kontaktów Polonii

gładowej. To jest przyczyna. Naturalnie można by dyskutować, czy bez zasadniczych zmian w ZSRR byłoby możliwe obecne zmiany w Polsce czy na Węgrzech, ale tu akurat zgodność ocen po wszystkich stronach jest duża.

Wracając do meritum... Przełom stosunków dokonał się po sformowaniu gabinetu premiera Mazowieckiego. Dopiero wtedy była możliwa wizyta Jana Nowaka-Jeziorańskiego, choć wcześniej nasza oficyna wydawnicza (Wydawnictwo „Polonia”) zwróciła się o zgodę na wydanie „Kuriera z Warszawy”. Bolesław Wierzbiański, edytor „Nowego Dziennika” i działacz Kongresu Polonii Amerykańskiej, mógł być obserwatorem obrad Okrągłego Stołu, ale wizyta oficjalna kierownictwa Kongresu z jej prezesem Edwardem Moskałem mogła dojść do skutku dopiero teraz. Takie są realia polityki.

— Czy nie odczuwa pan, jako reformator partyjny (ale mimo wszystko polityk związany z PZPR), pewnego rozczarowania, że pańskie działania, zdecydowanie otwarte na Polonię zachodnią i środowiska emigracji niepodległościowej, musiały napotkać na granicę nie do pokonania? Wyznaczone przez jednogłówną odmowę wpływowych kręgów emigracji oficjalnego kontaktowania się z każdym rządem komunistycznym w Warszawie. Słysz-

## ŻEBY POLSKA...

### Rozmowa z ambasadorem Józefem Klasą sekretarzem generalnym Towarzystwa „Polonia”

łania, żeby z tego porządku wyjść, uznawane były za naganne. Emigracja — naturalnie też. Nakładała się na to tradycyjnie rosyjska niechęć do Zachodu i emigracji, silnie obecna w tamtejszej ideologii państwowej. Także przedstalinowskiej.

— Ale my mówimy o Polsce...

— Naturalnie możemy się umówić, że powojenny ład PRL był czymś zupełnie niezależnym od systemu w ZSRR. Ze wpływów i naśladownictw nie było. Tylko czy to będzie prawda czy tylko naiwność?

— Czy da się oszacować „straty” emigracyjne Polski w jej nowym, powojennym ładzie?

— Nie wiem, czy można mówić o stracie, gdy ludzie ułożyli sobie życie lepiej, wygodniej czy bardziej godnie. Z ich punktu widzenia nie jest to na pewno strata. Nie ma kwestii natomiast, że odpływ wykształconych, przedsiębiorczych ludzi z kraju jest jego stratą. Ci właśnie ludzie: urodzeni, wychowani i wykształceni w kraju — są zupełnie szczególną grupą emigracji. Zwykle czują się Polakami i mają do Polski emocjonalny stosunek. Liczby? Zakładając pewną tolerancję błędów, można przyjąć, że w latach 1945—50 wyjechało 600 tysięcy osób, w latach 1951—55 około 20 tysięcy, od 1956 do 1979 roku prawie 800 tysięcy (w tym bardzo bolesne emigracje Polaków żydowskiego pochodzenia po 1956 i po Marcu '68) i wreszcie ponad 800 tysięcy (lub według innych — jeden milion) w latach osiemdziesiątych. Jakby patrzeć, mówimy o liczbie gdzieś pomiędzy 2,2 a 2,5 miliona!

— Jak by to pan skomentował?

— Jest to tragiczny bilans błędów popełnianych przez władze PRL. Jeżeli dodać do tego jeszcze 800 tysięcy emigracji niepodległościowej, to liczba wzrasta do 3—3,3 miliona. Nie jestem pewien, czy taki bagaż ludzkich losów, dramatów, niepewności można zestawiać ze splotem oraz zawirowaniami polityki i ekonomii. Czy jest to przyzwyczajenie?

— Dostrzegam w pańskim tonie pewne nuty dramatyczne. Czy jednak mądrzej jest traktować emigrację jako nieustające zło, czy też może starać się ją zaakceptować i pożytkować?

— Powiedziałbym — tak. Złe się dzieje w państwie, gdy jego obywatele opuszczają je, nie widząc dla siebie szans. Nie można jednak absolutnie na tych ludzi się obrażać, szkodzić im, represjonować ich. To emigrowanie może stanowić tylko źródło refleksji nad sytuacją państwa i drogami wychodzenia z tej sytuacji. Pomijając aspekt ogólny, państwowy, trzeba też widzieć, że chodzi tu o niezbywalne prawo ka-

z krajem. Tu musi być pełna klarowność sytuacji. Zresztą rząd premiera Rakowskiego podjął w tym kierunku kroki, a rząd premiera Mazowieckiego zapowiedział ich finalizację.

— Skoro już mówimy o zaniedbaniach wobec Polonii, trzeba wypowiedzieć chyba słowa przeprosin wobec Polaków w Związku Radzieckim i innych krajach bloku socjalistycznego. Nie pamiętano o nich, mimo iż trwali i w swoich siedziskach, gniazdach etnicznych Litwy, Ukrainy, Białorusi, Łotwy czy innych miejscach osiedlenia od pokoleń, choć nie zawsze z własnego wyboru (jak, powiedzmy, w Kazachstanie).

— Niestety, sytuacja ta chwały nie przynosi i trzeba się wstydić. Jednak chciałbym powiedzieć, że przełom w polityce narodowościowej ZSRR, pierestrojka i pożegnanie ze stalinowsko-breżniewowskimi majaczeniami o zacieraniu znaczenia kwestii narodowych w miarę budowy socjalistycznego społeczeństwa, słowem: cała polityka Gorbaczowa, znakomicie ułatwiła nam sprawę kontaktów z Polakami w ZSRR. I upominanie się o ich prawa, warunki życia, dostęp do języka ojczystego, kultury narodowej.

— O ile dobrze pamiętam, pańskim działaniom w tej materii przed dwoma laty nie tylko nie pomagano, ale wręcz rzucano kłody pod nogi.

— Nie wypada mi tego wątku kontynuować. Trzeba jednak wyraźnie powiedzieć, że Towarzystwo „Polonia” udzielało swojej pomocy Polakom w ZSRR wcześniej. To było „po cichu”, to były tylko książki, tylko kursy dla nauczycieli z Litwy, stroje ludowe, tylko może słowo otuchy, ale... było. Podobnie na miarę ówczesnych możliwości pomagała Polonia z innych stron świata.

Teraz mówi się o tych sprawach pełnym głosem, a rząd zapowiedział już kroki do rozwiązań repatriacyjnych włącznie, co było także przedmiotem rozmów z ministrem Szewardnadze w Warszawie.

— O ile można mówić o przełomie stosunków z Polakami w ZSRR i innych krajach socjalistycznych, wyłączając może Rumunię, gdzie sytuacja naszych rodaków jest trudna do pozaszczerzenia, to nie sposób nie widzieć także zdecydowanej zmiany w kontaktach z Polonią zachodnią, a głównie amerykańską. Czy to by pan również wiązał z pierestrojką Gorbaczowa?

— Proszę pana, nie mitologizujmy Gorbaczowa. Intensywność kontaktów jest bezpośrednio związana z faktem powstania rządu Mazowieckiego, ekipy o klarownej i bliskiej Polonii zachodniej opcji politycznej i światopo-

lo nie tu i ówdzie, że Klasa miał właśnie ambicję dokonania takiego przełomu, że zmierzył siły na zamiary...

— ...i się przeliczył. Tak, słyszałem to. Do Towarzystwa „Polonia” trafiłem, bo o to zabiegałem. Zabiegałem o funkcję sekretarza generalnego, bo wydawało mi się, że w tej roli mogę być przydatny i użyteczny. Wydawało mi się, że jestem w stanie rozumieć sprawę Polonii, bo moi rodzice byli właśnie Polonią, która powróciła do kraju, a z pracy w dyplomacji wyniosłem realistyczny i kompetentny obraz naszego wychodźstwa. Sądziłem także, że będę mógł z tego miejsca mówić ekipie rządzącej i rządzącej partii, co musi się zmienić w polityce wobec Polonii oraz co jest dobre dla Polski z punktu widzenia naszej emigracji. Robiłem to na miarę swojej ucziwości, aczkolwiek z różnym skutkiem. Różny był też odbiór. Niekiedy tylko daleki od entuzjazmu, niekiedy wręcz histeryczny. Często w różnych gremiach musiałem bronić swoich racji. Z czasem już nie musiałem, bo te gremia się zmieniły. Wiele z racji natomiast pozostało. Nie mogę więc mówić o rozczarowaniu. Z barier kontaktów z emigracją zachodnią naturalnie zdawałem sobie sprawę i nie przesadzałem w idealizmie ocen.

— Jak pan widzi przyszłość Towarzystwa „Polonia”?

— Wyłożyłem to w liście do marszałka Senatu, profesora Stelmachowskiego. Całokształtem stosunków z emigracją i Polakami poza krajem powinien — moim zdaniem — zajmować się Senat oraz koordynować działania zainteresowanych organizacji, instytucji. Takie usytuowanie rangi problemu Polonii zmienia zasadniczo pozycję Towarzystwa „Polonia”. Ponieważ jeszcze przed zmianami politycznymi w kraju mówiliśmy w Towarzystwie o potrzebie gruntownych zmian: odpolitycznienia i uspołecznienia jego działalności, reprezentacji we władzach szerokiego kręgu Polonii, trzeba zorientować się, na ile te oferty i dla kogo są aktualne i interesujące. Na te pytania odpowiedzi powinien udzielić kongres Towarzystwa, który odbędzie się w najbliższych miesiącach. Nie wykluczam, że podjęta zostanie na nim decyzja o rozwiązaniu Towarzystwa „Polonia”, aby ustąpić miejsca i umożliwić bezkonfliktowe i niekonkurencyjne funkcjonowanie utworzonej przez Parlament nowej organizacji polonijnej, nawiązującej do międzywojennej „Światopoli”.

— Pozostając przy tym temacie, co Towarzystwo „Polonia” miałoby do zaproponowania tej nowej organizacji? Czy i jak wybrała sobie jej twórcze-



# ANI W STALINGRADZIE, ANI NA KRYMIE...

## Rozmowa z potomkiem Dżyngis-chana, Selmem Chazbijewiczem

— Nie tylko sobie wyobraża, ale uznaje celowość jej tworzenia! Rozstrzygające decyzje w tych sprawach są w rękach Sejmu i Senatu, a przede wszystkim jego marszałka, który tak, jak to było przed wojną, powinien spajać całość kontaktów z emigracją. Ja i moi współpracownicy nową organizację chcemy współtworzyć z myślą o zachowaniu tego, co w dorobku Towarzystwa „Polonia” było dobre, a także przy wykorzystaniu doświadczenia setek działaczy polonijnych z zagranicy i kraju.

Nasz głos w dyskusji nad kształtem tej organizacji da się zamknąć w kilku punktach.

1) W skład władz związku winny wejść osoby o niekwestionowanym aurytecie obywatelskim, wywodzące się ze wszystkich liczących się orientacji społeczno-politycznych i religijnych, reprezentujące ogólnonarodowe interesy Polaków, Państwa Polskiego i Polonii. Należy zapewnić właściwy udział we władzach reprezentantom Polonii i emigracji. Także wpływ Kościoła na program i działalność związku powinien odpowiadać jego roli w utrzymywaniu polskości w środowiskach polonijnych.

2) Związek dążyć winien w szczególności do:

— Propagowania i udzielania pomocy w nauczaniu w skupiskach polonijnych języka polskiego, widząc w znajomości języka ojczystego jeden z podstawowych czynników utrzymywania polskości i żywych związków z krajem, jego historią i tradycjami, szczególnie w odniesieniu do młodzieży polonijnej.

— Upowszechniania wśród Polonii, poprzez jej organizację, związków i instytucji, wiedzy o kulturze polskiej i współczesnych zjawiskach życia społecznego, gospodarczego i politycznego w kraju.

— Przełomowego ożywienia związków i współpracy z Polakami w ZSRR, pozabawionymi przez całe dziesięciolecie kontaktów z Polską i polskością, a w tym m.in. stwarzania maksymalnych ułatwień Polakom zamieszkałym w ZSRR w ich przyjazdach do Polski, możliwości powrotu na stałe do kraju tym wszystkim, którzy pozostali i mieszkają w Związku Radzieckim wbrew swojej woli bądź obecnie chcieliby reemigrować, oraz objęcie opieką pomników kultury polskiej i miejsc pamięci narodowej znajdujących się na terytorium ZSRR.

3) Rozwijanie i pogłębianie współpracy Polonii z Ojczyzną na płaszczyznach: gospodarczej, kulturalnej, naukowej, oświatowej, turystycznej i sportowej; popularyzowanie w Polsce wiedzy o Polonii; popieranie i organizowanie w kraju dla Polonii i młodzieży polonijnej różnorodnych imprez i kontaktów (jak np. kursy kultury i języka polskiego, kolonie letnie, studia dla nauczycieli i instruktorów, festiwale artystyczne i zawody sportowe); przyznawanie stypendiów ułatwiających studia na wyższych uczelniach; polsko-polonijnych spotkań środowiskowych, kombatanckich, grup zawodowych (m.in. naukowych i artystycznych).

Przyczynianie się do pogłębiania więzi ekonomicznych emigracji z krajem, m.in. przez zwiększenie zainteresowania w inwestowaniu polskiego kapitału etnicznego z zagranicy w Polsce. Uzyskanie odpowiednich uprawnień, możliwości oraz wpływów w zakresie inicjatyw ustawodawczych; dotychczasowe regulacje prawne wielu dziedzin życia w Polsce nie sprzyjają ożywianiu współpracy z Polonią i wymagają daleko idących zmian. Ułatwianie wzajemnych kontaktów pomiędzy środowiskami polonijnymi z różnych krajów osiedlenia. Popieranie naturalnych dążeń emigracji do umacniania jej pozycji społeczno-ekonomicznych w krajach osiedlenia.

— Nie sędzę, abyśmy musieli unikać tego pytania: co pan zamierza robić po ewentualnym rozwiązaniu Towarzystwa „Polonia”, jak widzi swą przyszłość zawodową?

— Miałem w swoim życiu zawodowym wiele gwałtownych zmian. Zwykle, gdy kolejne odwilże w PRL miały przychodzić, czas prostowania kregosłupów oraz rozliczania. Dziś sytuacja jest szczególna, bo punkt rozliczeniowy znajduje się gdzie indziej. Nie ukrywam, że dla mnie jest to sytuacja bardzo interesująca poznawczo.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: Waldemar Piasecki

— Jest pan redaktorem naczelnym kwartalnika „Życie muzułmańskie” — organu Muzułmańskiego Związku Religijnego w Polsce. Ukazuje się w Gdańsku. Dlaczego w Gdańsku? Jaki jest profil tematyczny pisma?

— Po wojnie, na skutek prześladowań stalinowskich, większość Tatarów wileńskich przeniosła się do Gdańska i na Białostocką, toteż Gdańsk jest obecnie ostoją Tatarów litewsko-polskich w takim stopniu, jak np. wileńskie Troki lub Dołbutiszki przed drugą wojną światową. Kwartalnik — ukazujący się od trzech lat — ma wpaść wiernym elementarne zasady islamu, kultywować tradycje tatarskie, historię, etnografię, podtrzymywać obyczaje tatarskie.

Spotykamy się z zarzutem upraszczania tych zagadnień, ale pamiętać należy, że pismo jest przeznaczone zarówno dla intelektualistów, jak też dla chłopów białostockich pochodzenia tatarskiego. Staramy się kontynuować tradycje przedwojennego kwartalnika „Przeglądu islamskiego” i miesięcznika „Życie tatarskie”, które ukazywały się w Wilnie w latach trzydziestych. Wtedy też wychodził „Rocznik tatarski” — pismo rzeczywiście elitarnie, o charakterze naukowym. Nasze pismo jest redagowane społecznie, boryka się z powszechnie znanymi trudnościami papierowymi i finansowymi. Współpracują z nami dwaj doradcy do spraw teologicznych — Marokańczyk i Jordanińczyk, a finansowo wspiera nas Liga Świata Arabskiego z siedzibą w Arabii Saudyjskiej.

— Ostatnio jest moda na mniejszości narodowe w Polsce. Tatarzy są dla nas egzotykiem pod każdym względem. Przed wielkimi natomiast byliście groźni. Napadaliście na nas. Nieładnie...

— To było bardzo dawno, ale przyzna pan, że po Dżyngis-chanie ludzkość poczyniła znaczne postępy w eksterminacji i ludobójstwie. Weźmy takich „cywilizowanych” władców, jak Hitler i Stalin!

— Czy to prawda, że na Litwie znaleźliście się jako jeńcy Witolda?

— Bajka! W średniowieczu chan Dżelaledin został pozbawiony tronu przez konkurenta Timura Kultuga. Z częścią wojsk uciekł na Litwę, Witold udzielił im azylu i osiedlił ich na północny zachód od Wilna jako zapórę przed Krzyżakami. Pod Grunwaldem walczyli trzy tysiące Tatarów Dżelaledina. Za służbę w wojsku otrzymali nadania ziemskie. Wśród tych Tatarów była szlachta i zwykli ordyńcy. Szlachcicem zostawał ten, który udowodnił pochodzenie od Złotej Ordy. Pozostali stawali się kozakami. To byli wolni chłopcy, mający obowiązek służby wojskowej na zawołanie.

— A pańscy przodkowie?

— Pochodzą nie tylko ze Złotej Ordy, lecz są potomkami Dżyngis-chana. Wszystkich moich antenatów wymienia po kolei Stanisław Dziadulewicz w swoim Herbarzu Rodzin Tatarskich z 1926 roku. W Warszawie, w Archiwum Akt Dawnych, są dokumenty z 1922 roku, w których Sejm Rzeczypospolitej potwierdził pochodzenie moich przodków od rodziny panującej w Złotej Ordzie. Otóż mój przodek nazywał się Uszen. Walczył pod Grunwaldem. Za to otrzymał nadanie ziemskie, jego syn nazywał się Hadżybej, wkrótce spolszczony na Hazbej. W dalszej kolejności doszła końcówka ewicz, zmiekkzona następnie na Chazbijewicz. Mój pradziadek nosił nazwisko Smajkiewicz — Ibrahim Smajkiewicz. Był imamem Tatarów wileńskich, dziadek natomiast był imamem, już po wojnie, Tatarów gdańskich.

— Imam to wysoka godność w środowisku...

— To przywódca duchowy.

— Jak się nim zostaje?

— Wyboru imama dokonują wszyscy wierni — pełna demokracja. Toteż kandydat musi cieszyć się powszechnym poważaniem współwyznawców. Pewne znaczenie ma w tym tradycja rodzinna.

— Czy to by oznaczało, że rozmawiam z przyszłym imamem?

— Wątpię. Tradycja rodzinna wcale nie oznacza automatycznego dziedziczenia tej funkcji.

— Jak islam stał się religią Tatarów?

— Prawnik Dżyngis-chana — Berke — nawrócił się na islam w XIV wieku. Nawrócił się z szamanizmu — był to zespół miejscowych wierzeń tatarskich. A działo się to dokładnie na terenie obecnego Stalingradu, bo tam była kolebka Złotej Ordy. Po podboju tych ziem przez Iwana Groźnego, stolica Złotej Ordy — Seraj Berke — została przemianowana na Carycyn, ten z kolei na Stalingrad i Wołgograd.

— W potocznym rozumieniu mówi się o was jako o Tatarach krymskich...

— Krym był w tamtych czasach jedną z prowincji Złotej Ordy. Korzystając z osłabienia Złotej Ordy, ówczesny namiestnik Krymu, Hadży Gerej, zwrócił się o pomoc do księcia Witolda i Kazimierza Jagiellończyka i ogłosił się samodzielnym władcą Krymu. Nawiasem mówiąc pochodził on z Trok i był potomkiem wodza tatarskiego spod Grunwaldu. Chanat krymski w początkach swego istnienia był lennem Polski.

Dramatyczne były koleje tego państwa w czasach władzy radzieckiej. Po rewolucji lutowej i październikowej Krym uzyskał niepodległość. To państwo istniało trzy lata (1917—1921) jako Demokratyczna Republika Krymu. Została ona zlikwidowana po wkroczeniu wojsk Wrangla i Denikina, a potem Armii Czerwonej. Dość mało znany jest fakt, że w 1921 roku Demokratyczna Republika Krymu zgłosiła akces do Ligi Narodów pod mandatem Polski. Liga wyraziła zgodę, Piłsudski także. Stosowne dokumenty pochodzą z maja 1921 roku. Premierem i prezydentem tej Demokratycznej Republiki Krymu był polski Tatar, generał Maciej Sulkiewicz, krewny bliskiego współpracownika i przyjaciela Piłsudskiego z czasów PPS — Aleksandra Sulkiewicza, uczestnika I Zjazdu PPS w lesie koło Wilna. Tatarami byli też inni współpracownicy Piłsudskiego — Stefan Bielak oraz przyszły prezydent Polski, Stanisław Wojciechowski.

Trzeba przyznać, że Tatarzy polscy przed drugą wojną całkowicie identyfikowali się z Polską i jej racją stanu. Bardzo przydatni okazali się np. w nawiązywaniu stosunków dyplomatycznych i gospodarczych z państwami arabskimi. To w sumie przypieczętowało ich los po wojnie, zwłaszcza że podczas wojny, po wejściu Niemców na Krym, tamtejsi Tatarzy powitali ich jako wyzwolicieli. Stalin obszedł się z Tatarami z właściwym sobie okrucieństwem i bezwzględnością, deportując ich z Krymu w barbarzyńskich warunkach.

My zaś ratowaliśmy się ucieczką z Litwy na zachód. Przez długie lata żyliśmy jakby pod kloszem. Tylko na prawach rękopisu ukazywały się „Żeszyty muzułmańskie”, redagowane przez Macieja Konopackiego. Meczety na Wileńszczyźnie zostały magazynami zbożowymi lub muzeami ateizmu. W Gdańsku odprawialiśmy modły w mieszkaniu prywatnym. Dopiero teraz kończymy budowę meczetu w Gdańsku. Staje się widoczne, że obecne zainteresowanie nowego rządu mniejszościami narodowymi to nie moda, tylko ważny element tego, co nazywamy prawami człowieka.

— Czy utrzymujecie kontakty ze światem arabskim, światem waszej religii?

— Łączy nas religia, ale trzeba stwierdzić, że świat arabski ma wiele twarzy. Nasza kultura ma korzenie turecko-tatarskie. Jest wyraźnie odrębna. Dzieli nas granice i obyczaje, historia, tradycja narodowa. Przyznam, że bardziej swojsko czuję się wśród Turków niż Arabów. Nie znam natomiast ani języka tureckiego, ani arabskiego. Z przedstawicielami islamu rozmawiam językiem angielskim.

— Poza tym świat arabski jest dość zróżnicowany politycznie. Przykładem

stosunek do konfliktu izraelsko-palestyńskiego.

— Nie tylko. Niekiedy waga tu względy teologiczne. Przykładem jest Kadafi i jego Libia. W ogóle prawo libijskie czy irańskie niewiele mają wspólnego z prawem muzułmańskim, natomiast sam Kadafi jest uważany przez teologów muzułmańskich za odstępca od islamu. Powodem są jego samowolne próby innowacji zasad religijnych. Na przykład zmienił kalendarz muzułmański! Gdy cały świat muzułmański uznaje rok 622 — datę wyjścia Proroka z Mekki do Medyny — za datę powstania islamu, to z kolei Kadafi za początek religii islamskiej uznał datę śmierci Proroka. Poza tym nie do przyjęcia przez islamskich teologów jest jego tak zwana Trzecia Teoria Światowa, czyli próba połączenia islamu z socjalizmem. Jest to odstępstwo od wiary, a to dlatego, iż socjalizm w swej istocie jest myślą ateistyczną. A w islamie zaprzeczenie istnienia Boga, jakiegokolwiek Boga, jest grzechem śmiertelnym! Ortodoksyjny islam nigdy nie zaakceptuje socjalizmu czy komunizmu jako systemu państwa i prawa, stosunków społecznych i religijnych.

— A co akceptuje Selim Chazbijewicz?

— Selim Chazbijewicz został od dziecka wychowany w duchu religijnym islamu. Przypominam, że jest wnukiem i prawnikiem imamów. To zobowiązuje!

— Ale ożenił się z Polką. Studiował polonistykę, a nie np. orientalistykę. Nie zna ani arabskiego, ani tureckiego. Opublikował trzy tomy poezji w języku polskim. Same odstępstwa.

— Po kolei. Ożenił się z Polką, koleżanką ze studiów, bo mu wolno. My, Tatarzy, staramy się popierać w obrębie wspólnoty, ale w religii islamu są dozwolone małżeństwa z chrześcijanką lub Żydówką, ponieważ religie ich wyznają Boga Jedyne. Według prawa muzułmańskiego, nie jest dozwolone małżeństwo tylko z ateistką lub z politeistką. Dalej: studiował polonistykę, a nie orientalistykę, z dwóch powodów. Po pierwsze — literatura polska bardzo mnie interesuje, sam zresztą uprawiam poezję, wydałem trzy zbiory, jestem członkiem ZLP; a po drugie — orientalistyki nie mogłem studiować z braku warunków materialnych — to by wymagało pobytu w Warszawie, a moich rodziców nie było na to stać.

— Pozostaje jeszcze delikatna sprawa tak zwanej duchowej identyfikacji. Kim pan jest — Polakiem czy Tatarem?

— Polakiem tatarskiego pochodzenia, a w ogóle to zarówno Polakiem, tak i Tatarom. Wieki dzielą moich potomków i mnie samego od naszych tak zwanych korzeni ojczyznianych. Przez wieki nasze losy złączyły się na dobre i złe z Polską i Polakami. Jest coś wspólnego w dramatyzmie losów Polaków i Tatarów, choć na początku naszej rozmowy wypomniał mi pan tatarskie najazdy na Polskę. Potem zawsze byliśmy dla Polaków, dla polskiej państwowości, mniejszością mikroskopijną, a więc w niczym nie groźną. Przed drugą wojną było nas w całej Rzeczypospolitej zaledwie 5,5 tysiąca, teraz znacznie mniej, co w porównaniu z żywiołem ukraińskim, żydowskim, czy białoruskim było kroplą w morzu. Nigdy też nie zgłaszaliśmy roszczeń terytorialnych, jakichś tam autonomii i mówiąc żartobliwie, nasze jedyne żądania, to wymóg zdjęcia obuwia przed wejściem do meczetu. To tak niewiele...

— Domyślam się zatem, że nie chciałby pan zamieszkać ani w okolicach Stalingradu, ani na Krymie?

— W Stalingradzie nigdy, a na Krymie tylko przez trzy tygodnie w jakimś kurorcie i potem... szybko do domu!

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: Henryk Rajak



## Kiedy dostatek żywności?

Z POWODU 45-letnich zamierzeń i specyficznej polityki państwa wobec chleba, Polska ma dzisiaj najbardziej zacofaną i najmniej wydajną gospodarkę w Europie. Prawie dwukrotnie wyższą niż my wydajność z hektara osiągają nie tylko takie tradycyjne potęgą rolnicze jak Francja, Niemcy (zwłaszcza Republika Federalna), Holandia i Dania. Prawdziwym (dla Polaków wstydem jest fakt, że o wiele) większe plony zbiera rolnik w zimnej i skalistej Szwecji i Norwegii, wysokogórskiej Austrii oraz skalistej i chłodnej Szwajcarii. Dotyczy to nie tylko zbóż, ale i tak — zdawałoby się — polskich specjalności, jak kartofle, żyto, i buraki cukrowe.

A oto liczby. Ziemiaków zbiera się w Polsce 187 kwintali z jednego hektara. W Szwecji — 359, w Szwajcarii — 373, w Austrii — 286. Buraki cukrowe: Polska — 322 q, Austria — 506, Szwecja — 424, Holandia — 558 kwintali z hektara. A jak jest z produkcją mięsa? Nie lepiej. Na stu hektarach ziemi dwa razy więcej bydła i świń niż my hodują Niemcy i Japończycy, zaś trzy razy więcej potrafią wyhodować w Belgii i Luksemburgu.

Te liczby są bezlitosne, gdyż jednoznacznie pokazują, że jesteśmy sami sobie winni. Na zachodzie też umiemy czytać statystyki, nie zatem dziwnego, że nikt nie kwapi się z nowym planem Marshalla, skorośmy potrafili przez dziesięć lat rządów Gierka zmarnować dwadzieścia miliardów dolarów.

Ale można także (i trzeba) czytać te liczby inaczej, właśnie — optymistycznie. Oznaczają one bowiem ogromne rezerwy tkwiące w polskiej ziemi i w pracy polskiego rolnika. Żywności naprawdę możemy mieć w bród, a ta obfitość może ujawnić się w ciągu paru najbliższych lat, ponieważ akurat w rolnictwie każda inwestycja przynosi błyskawiczne efekty. Nie dość, że każda mądrze ulokowana złotówka zwraca się już po roku, przynosi ona także stuprocentowy zysk. Mówiąc obrazowo — ze złotówki włożonej w uprawę zbóż czy hodowlę zwierząt reżnych ma się po roku całe dwa złote. Takiej rentowności nie osiąga żaden przemysł wytwórczy, nie osiąga górnictwo i hutnictwo, dwa ulubione przez komunistów wszystkich nacji przemysły, w których topiono (dosłownie) nasz dochód narodowy.

Niska kultura rolna powoduje zarazem, że mniej wydajne są też polskie krowy i kury. Krowa w Szwecji daje rocznie 5822 litry mleka, podczas gdy nasza krasula zaledwie 3154, chociaż pod polskim niebem jest jej cieplej i częściej widzi słońce. Nasze kury sprawiają się nie lepiej, bo od szwedzkich, austriackich, niemieckich i holenderskich znoszą o połowę mniej jaj.

**G**DZIE tkwi przyczyna tak rażąco niskiej produktywności polskiego rolnictwa? Czy tylko w zdecydowanie mniejszym — jak sądzi się potocznie — „umaszynowaniu” i niższym zużyciu nawozów? Liczby zdają się nie potwierdzać tego przypuszczenia. Oto bowiem na jeden traktor przypada (mniej więcej) tyle samo co w Polsce gruntów w takich krajach, jak: Szwecja, Francja, Dania i Wielka Brytania (od 13 do 15 hektarów). Zaś Austria, Francja, Wielka Brytania, Szwecja i Szwajcaria, chociaż ziemi są tam wcale nie lepsze niż nasze, zużywają mniej nawozów sztucznych, natomiast Dania mniej więcej tyle samo co my.

Spójrzmy przeto do ostatniej tabeli w Roczniku Statystycznym, gdzie odnotowano strukturę gospo-

darstw rolniczych. Może tutaj znajdziemy wytłumaczenie? Oto gospodarstwa powyżej dziesięciu hektarów stanowią w kraju zaledwie 16,5 procenta wszystkich gospodarstw, podczas gdy w wymienionych wyżej państwach jest to zawsze więcej niż połowa. W RFN — 51 proc., we Francji — przeszło 80 (!), w Wielkiej Brytanii — 76, i w Danii 53,1 procenta.

Ponadto Polska jest jedynym krajem europejskim, gdzie odnotowano tak kuriozalne zjawisko, jak ilościowy wzrost gospodarstw najmniejszych, tzw. karłowatych, czyli najmniej wydajnych. Oto bowiem od roku 1970 odsetek gospodarstw poniżej pięciu hektarów zwiększył się z 57,1 proc., do 58,3 proc. Natomiast, przeciwnie niż w krajach o wysokiej produkcji rolniczej, odsetek gospodarstw wielkotawowych, czyli liczących więcej niż pięćdziesiąt hektarów, zmalał w Polsce z 0,3 proc. do 0,2 procenta.

Nie popadajmy jednak w przesadę z postulowaniem zaprowadzenia w Polsce wielkich farm. Prawie wszędzie w Europie Zachodniej gospodarstwa powyżej 50 ha stanowią znikomy ułamek. W RFN — niecałe 5 procent, w Holandii — 3,6 proc., w Belgii — 5 procent. Nawet płynąca mlekiem, miodem i winem Francja ma ich zaledwie 15 procent.

Tak więc w całej prawie Europie o obliczu rolnictwa decydują gospodarstwa średnie, od dziesięciu do pięćdziesięciu hektarów. Nie są to zatem ani wiel-

przeszło połowa rolników przyjeżdżających do miasta na targ, wystających w kolejkach do punktów skupu i po węgiel, przeszło połowa z tych, którzy wyrażają swoje opinie — to chłopci małorolni, produkujący drogo, produkujący mało, a zatem niezwykle wrażliwi na najmniejsze wahania rynku. Dalsze 25,2 procenta gospodarstw stanowią też gospodarstwa małe, poniżej 9,9 hektarów.

Polskie rolnictwo jest więc zdominowane przez gospodarstwa małe i karłowate, które stanowią 83,5 procenta wszystkich gospodarstw. Ich to właściciele nadają naszemu rolnictwu ton, oni też dyktują dzisiaj, a właściwie windują ceny do granicy, które miasto zaczyna już nie wytrzymywać.

Nigdzie na świecie rolnik nie otrzymuje tyle za mleko, ile płaci za litr oleju napędowego. Nigdzie na świecie kilogram żywa wieprzowego nie kosztuje osiemnaście razy tyle, co kilogram zboża, ale zaledwie 7—8 razy więcej. Takie relacje cen świadczą wszakże, że chore jest nie tylko rolnictwo, ale cała gospodarka, toteż uzdrowienie rolnictwa powinno być ściśle powiązane z generalnymi zmianami w narodowej ekonomii. W każdym razie jest tak, że jak w polskim przemyśle decydujący głos mają wielkie, przestarzałe i nieopłacalne molochy wymagające dotacji z budżetu, tak i w rolnictwie decydujący głos ma producent mało wydajny i drogi.

Paradoks i pogłębiająca się pauperyzacja społeczeństwa wynika więc i z tego, że do tych wszyst-

# CZY POTRZEBNE SĄ

Andrzej W. Pawluczuk

kie farmy, ani majątki obszarnicze. Na roli pracuje tam taki sam jak w Polsce chłop, tyle że pracuje wydajniej i potrafi wykarcić nie trzy osoby, ale od dziesięciu (Austria) do dwudziestu pięciu (Szwecja!).

Toteż kryzysu polskiego rolnictwa szukać należy u samych początków władzy ludowej, która przeprowadzając słynną reformę rolną i nadając działki nawet półhektarowe, przygotowywała właściwie grunt pod przyszłą kolektywizację.

Struktura gospodarstw w Europie Zachodniej kształtowała się przez kilka dziesięcioleci, był to proces samorzutny, kierowany jedynie przez mechanizmy ekonomiczne. Dlatego można bez ryzyka popelnienia błędu powiedzieć, że właśnie zachodnioeuropejska wielkość gospodarstwa chłopskiego jest najlepsza, najbardziej efektywna gospodarczo. Najpierw ze względu na koszty umaszynowania, które są takie same w pięciu- i dwudziestohektarowym gospodarstwie. Dalej — małe gospodarstwo, produkujące niewiele i drogo, ma niezwykle małe pole manewru przy pogarszającej się koniunkturze. Tam, gdzie trzyma się trzy świni i jedną krowę, relatywna obniżka cen powoduje, że hodowla żywca staje się nieopłacalna, i nie opłaca się także zawozić mleka do mleczarni. Chłop małorolny nastawia się w takich przypadkach na pracę tylko dla siebie i swojej rodziny. On się żywy zawsze, to prawda, ale już nie potrafi wyprodukować nadwyżek dla miasta.

Tymczasem przeszło połowa gospodarstw w Polsce to gospodarstwa karłowate. Przeszło połowa! A więc

kich nieopłacalnych hut i fabryk państwo dopłaca (a dopłaca z czego, jak nie z naszej wspólnej kieszeni?), natomiast koszt produkcji rolnej, a zatem ceny puszczono na żywioł. W ten sposób człowiek utrzymujący się wyłącznie z pracy najemnej ograbiany jest podwójnie: raz przez państwo, które musi mieć pieniądze na dotacje do przemysłu, dwa — przez prywatnego rolnika, który wykorzystując niespotykaną koniunkturę na żywność, winduje ceny. To windowanie bywa zresztą często uzasadnione, bo państwo — chcąc ograniczyć dotacje, podnosi ceny na wyroby przemysłowe: maszyny, narzędzia i paliwo.

Niezwykły run na produkcję żywności jest dlatego i dobry, i zły. Dobry, ponieważ w krótkim czasie przyniesie dostatek mięsa i nabiału, zły — ponieważ oddała restrukturalizację rodzimego rolnictwa i utrwala archaiczną małorolność polskiej gospodarki wiejskiej. Zatrzymajmy się przy tej dycho-

tomii. Obecna koniunktura jest dobra, ale na krótką metę. W małych gospodarstwach, w których przedtem wyrzynano łochy, teraz karmi się prosięta zbożem i kartoflami. To mięso będzie drogie i bardzo drogie. Kiedy pojawi się na rynku za rok, miasto nie będzie go w stanie wykupić. Stanieje wówczas, a wtedy małorolny gospodarz znowu dojdzie do wniosku, że hodowla jest nieopłacalna. I znowu powtórzy się sytuacja sprzed roku, kiedy to pozbywano się pro-

## Co czwarte przestępstwo popełnili nieletni

**N**AUCZYCIELE, a zwłaszcza profesorowie, są ofiarami wszelkiego rodzaju agresji. «Bieżąca sprawa» jest przecinanie opon, ale coraz częściej zastępuje je uszkodzenie samochodu — przecięcie hamulców, wykręcanie śrub z kół. Policzki, ciosy gołą lub uzbrojoną ręką, ataki frontalne są równie częste, jak ze strony samych uczniów, jak czasami ich rodziców. Przemoc w szkołach nie ma granic. A już i śmierć dosięgła pedagogów na służbie».

Czy taki jest obraz polskiej szkoły? Nie. I miejmy nadzieję, że taki nigdy nie będzie. To „tylko” problemy francuskiej oświaty, o których informuje jeden z czołowych dzienników, „Le Figaro”.

My mamy szkolne organizacje młodzieżowe, PCK, SKO, SKS, Towarzystwo Przyjaciół Dzieci, domy kultury i pół tuzina innych instytucji, którym dobro najmłodszych leży ponoć głęboko na sercu. Skąd zatem powody do niepokoju?

Fragmencie notatki prasowej, zamieszczonej w jednym z październikowych wydań „Sztandaru Ludu”: „Kilka dni temu Józef L. wracał ulicą Pawią do domu. Był lekko „wstawiony”, pora była późna. W pewnej chwili podeszło do niego czterech chłopców. Byli raczej niepozorni, ale w grupie ozuły swą siłę. Bez niepotrzebnych wstępów zaatakowali męczący. Bił i kopali po całym ciele. Gdy ofiara przestała się bronić, zrabowali skafander, marynarkę, zegarek, trochę pieniędzy i siatkę z zakupami. Ze złamanym nosem i innymi obrażeniami twarzy poszkodowany poszedł na pobliski komisariat MO. [...] podjęta akcja wyzuliła na schwytanie trzech sprawców. Braci: 16-letniego Krzysztofa i 13-letniego Leszka S. oraz 14-letniego Mariana C. [...] Po kilku dniach zatrzymano czwartego sprawcę rozbój — 17-letniego Marka M., który okazał się uciekinierem z zakładu poprawczego”.

W 1988 roku co czwarte przestępstwo w Lublinie popełnione było przez nieletniego. Na ogólną liczbę

2559 przestępstw w województwie lubelskim — dokonanych przez dzieci i młodzież do lat 18 — 1963 z nich miało miejsce w Lublinie. Statystyki milicyjne notują w ostatnich latach znaczny wzrost przestępczości wśród nieletnich. Ilustruje to poniższe zestawienie:

# PODWÓRKO Z KLUCZEM

Zbigniew Dzieciołek

Lata	Ilość czynów	Procent przestępstw na 100 proc. dokonanych	
		w woj. lubel.	w kraju
1983 r.	937	7,3	7,0
1984 r.	1329	8,7	7,6
1985 r.	2365	12,0	9,6
1986 r.	2406	15,5	11,3
1987 r.	2531	17,6	13,6
1988 r.	2559	17,3	12,0

Wielu z tych przestępców nie przekroczyło trzydziestego roku życia. Ponad stu, w 1988 roku, przebywało w izbie wytrzeźwień (86 r. — 68, 87 r. — 83 osoby), a około pięćdziesiąt w Milicyjnej Izbie Dziecka. Na każdą ze szkół podstawowych, zawodowych i średnich w Lublinie „przypadł” w ubiegłym roku 15 przestępstw, czyli więcej niż jedno w miesiącu.

— To, co się dzieje od połowy września tego roku — mówi Gabriela Zagórska, dyrektor Szkoły Podsta-

wowej nr 19 na Czwartku — to istne szaleństwo. Niemal co tydzień milicja przychodzi do szkoły. Tylko w ciągu miesiąca, prawdopodobnie uczniowie naszej i pobliskich szkół okradli kiosk warzywniczy, sklep spożywczy i sąsiednie liceum. A niech pan zapyta tych „najlepszych”, ile jest osiem razy dziewięć? Zaden nie odpowie. Doskonale natomiast znają notowania dolara na targowisku i cenę wódki na melinie. Proszę spojrzeć, co dzieje się wokół. Ludzie gonia

za pieniędzmi, coraz częściej „być” zastępuje „mieć”, a wychowanie w szkole stało się po prostu fikcją. Nauczyciela ocenia się nie za wychowanie, ale za wyniki w nauce. Do tego dochodzą makabryczne treści nauczania, z których niewiele rozumie prawie 50 procent uczniów.

Oprócz zabójstw, nieletni byli sprawcami prawie wszystkich rodzajów przestępstw i czynnie z gwałtem (13-letni chłopak gwałcił dorosłą kobietę). W ciągu roku rejestruje się od 15 do 20 włamań do szkół. Większość z nich „notują na swym koncie” uczniowie. W ubiegłym roku w Szkole Podstawowej nr 20 wychowankowie Domu Dziecka wybili prawie 200 szyb. To w tej szkole spalono dzienniki lekcyjne. Jej uczniowie dokonali bandyckiego napadu na taksówkarza.

— Mamy specyficzne warunki pracy — tłumaczy wicedyrektor SP nr 20, Zofia Wicha. — Ulice 1 Maja, część Kunickiego, stare Bronowice to środowiska o dużej przestępczości. Zagrożenie patologią dzieci i młodzieży jest tu znacznie większe niż w innych dziel-



siat, cieląt i macior. Ten cykl nadmiaru i niedostatku będzie się — niestety — powtarzał dopóty, dopóki struktura obszarowa polskiego rolnictwa nie ulegnie zasadniczej zmianie.

Czy małe gospodarstwa mogą być opłacalne, a nawet wysokodochodowe? Oczywiście! Dowodem na to jest rolnictwo Japonii i Włoch. Musi być jednak utrzymana niezwykle wysoka kultura, w Polsce — jak należy sądzić — nie do osiągnięcia w ciągu najbliższego dziesięciolecia. Zresztą polski rolnik nie ma na razie motywacji, aby tę kulturę podnosić, skoro droga żywności znajdowała zawsze kupców. A skoro cenę żywności będzie przez najbliższe dziesięciolecie dyktował producent drogi, będzie to żywność także droga dla mieszkańca miasta.

**J**EZDZAĆ po Podlasiu i Lubelszczyźnie zatrzymałem się u paru gospodarzy, którzy utworzyli spółki i zamierzali rozkręcić produkcję artykułów żywnościowych na większą skalę.

Jan Wójcicki we wsi Zadole pod Opolem Lubelskim gospodaruje samodzielnie od roku 1981. Zbudował duży i ładny dom, ogromną stodołę i magazyn, ma wszystkie maszyny potrzebne w gospodarstwie, chociaż ziemi posiada niewiele — zaledwie 4,85 hektara. Prawie wszystko musiał kupić na wolnym rynku, ponieważ w Urzędzie Gminy nie mógł się doprosić o żadne przydziały.

## SPÓŁKI...

Czy jest to chłop małorolny? Stanowczo nie: pan Wójcicki uprawia jabłka, gruszki i wiśnie, a pięć hektarów sadu to już bardzo duże gospodarstwo, którego nie obrobi się koniem i pracą ręczną. Współ z sąsiadami założył spółkę, która pragnie zająć się wytwarzaniem koncentratu jabłkowego. W sadownictwie robi się bowiem coraz ciasniej, jabłek jest na rynku w bród, toteż ich cena od lat właściwie maleje. Więc koncentrat z jabłek, towar, który bardzo dobrze sprzedaje się za granicę. W zasadzie można wywieźć z Polski każdą jego ilość, byle mieć odpowiednie uzgodnienia do produkcji.

Takich maszyn nikt jednak w kraju nie wytwarza, trzeba je sprowadzić z Zachodu, a to są ciężkie pieniądze. Od roku znikąd nie mogą uzyskać kredytu, chociaż taka pożyczka spłaciłaby się nadszyciej szybko. Pan Wójcicki jest działaczem Solidarności rolniczej, ale nie słyszał dotąd, aby był jakiś konkretny program spóżytkowania tych milionów, które na rozruszanie prywatnej przedsiębiorczości przyznali Amerykanie.

Przyjeżdża sporo biznesmenów z Zachodu, którzy szukają w Polsce możliwości inwestowania. Wiem o tym od Janusza Winiarskiego, który jest członkiem Zarządu Tymczasowej Wojewódzkiej Rady Rolników „Solidarność” w Lublinie. Ale czterech rolnicy z zapadłej wsi, którzy mają w sumie dwadzieścia hektarów sadu i parę traktorów, nie są dla takiego biznesmena partnerami. On musi mieć jakąś — chociażby minimalną — gwarancję powodzenia i uczci-

nicach Lublina. Jak w takich warunkach można skutecznie pracować?

To jednak nie wszystko, mówiła Zofia Wicha. Coraz bardziej pogłębiają się dysproporcje między różnymi grupami społecznymi. Nie wszystkich stać na ubranie made in Turkey. U dzieci rodzi się zazdrość, chęć posiadania tego, co mają rówieśnicy, a współczesne kanony moralne stanowią wątpliwy hamulec

## NA SZYI

na drodze do kradzieży. Niewielka wykrywalność sprawców rodzi poczucie bezkarności, staje się zachętą dla innych.

Niemal w każdej szkole nagminnie jest palenie papierosów i picie alkoholu. Częste wagary, ucieczki z domu, włóczęgostwo, a nawet próby samobójstwa i pojedyncze przypadki prostytucji nieletnich dziewcząt dopełniają całości obrazu. W jednej z lubelskich szkół (pani dyrektor prosiła o anonimowość) na około 800 uczących się, ponad 10 procent stanowią dzieci, które określa się w statystykach jako niedostosowane społecznie bądź zagrożone tym niedostosowaniem. W rozmowach z pedagogami i dyrektorami szkół pojawiały się informacje o kradzieżach z głodu.

Nikt nie chce wziąć na siebie odpowiedzialności za ten stan. Szkoła obciąża rodziców, którzy, jej zdaniem, przejawiają znikome zainteresowanie swoimi dziećmi. Większość rodziców zaś obciąża szkołę za wszelkie nieprawidłowości w wychowaniu.

wości ze strony partnerów. Dlatego przyjeżdża i wyjeżdża z tymi samymi pieniędzmi w kieszeni. Wyjeżdża na dodatek z przekonaniem, że Polacy nie potrafią się zorganizować, a więc nie ma co sobie zwracać nimi głowy.

Jak to powinno wyglądać? Pan Janusz powiada, że takim partnerem dla człowieka interesów z Zachodu mógłby być bank, gwarantujący odzyskanie części pieniędzy w przypadku plaży, a wszystkich pieniędzy w przypadku oszustwa. Bank ręczyłby zatem, że polski partner jest i uczciwy, i ma głowę do interesów. Reszta zależałaby już tylko od tej głowy.

Na razie jednak nie widać, aby związki zawodowe zajmowały się jakimikolwiek działaniami produkcyjnymi. Także Solidarność Rolników Indywidualnych ma w tej chwili ważniejsze sprawy na głowie. Nie chce być ironiczny, ale na wsi uważa się, że wszystko załatwią przyszłe samorządy. Nie podzielałbym tego optymizmu. Ruch w interesie, biznes, duże pieniądze — są to wszystko sprawy prywatnego myślenia na własny rachunek. Samorząd, jako ciało kolektywne, nie rozwiąże skutecznie żadnego problemu ekonomicznego (przykład: Jugosławia). Zastanówmy się nad tym, zanim wejdziemy w kolejną ślepią uliczkę. Rozwój prywatnego biznesu nastąpi więc tylko wówczas, jeżeli prywatna osoba zobaczy w tym jak najbardziej osobisty, własny prywatny interes. Muszą być ku temu spełnione dwa warunki: dogodny system podatkowy i dogodny kredyt inwestycyjny.

Identycznie widzą problem udziałowcy spółki mięsnej w Fajslawicach, do której należy między innymi senator Janusz Stępnik. Nie zastaje go jednak w domu, dlatego rozmawiam z panem Eugeniuszem Bednarczykiem. Otóż spółka (zarejestrowana rok temu) usiłuje — na razie bezskutecznie — uruchomić produkcję mięsa i wędlin. Rzecz rozbija się o lokal na ubojnię, a lokal — o pieniądze na jego budowę. Ta spółka także nie mogła nigdzie znaleźć kredytu, toteż tak, jak poprzednia, właściwie nie funkcjonuje.

Nie bardzo pojmują racjonalność takiej polityki bankowej, kiedy to można uzyskać kredyt na wypłaty dla robotników dużej fabryki, a nie sposób znaleźć pożyczki na bardzo szybką inwestycję w gospodarce żywnościowej. Przecież taką ubojnię stawia się parę miesięcy, a po paru miesiącach przedsiębiorstwo zaczyna ściągać z rynku gorące pieniądze. Pan Bednarczyk mówi mi, że pomysłów mają więcej, ale bez kapitału nie ruszą. A kapitału — nie ma.

Popatrzmy na to także z innej strony. Oto taka spółka, w odróżnieniu od wielkiego i państwowego zakładu mięsnego, będzie poszukiwała zawsze mięsa tańszego, gdyż na tańszym surowcu jest po prostu większy zarobek. Będzie więc wymuszała w okolicy tańszą produkcję żywności. Oczywiście nie od razu, bo nic nie dzieje się w gospodarce błyskawicznie. Ale rolnik hodujący drogo, jeżeli będzie musiał jechać do odległego punktu skupu i stać w kilkugodzinnej kolejce, zastanowi się, czy nie potanieć swojej produkcji po to chociażby, aby zaoszczędzić czasu i fatygi. Gospodarka składa się z naczyń połączonych i najmniejsze nawet gospodarstwo połączone jest z całym systemem rozlicznymi więzami ekonomicznymi i organizacyjnymi. Spółka, której udziałowcy chcą zarobić, bo chcą więcej mieć, będzie po prostu wymuszała na innych działania racjonalne i opłacalne, gdyż inaczej ona sama zarobi niewiele.

Dlatego wbrew temu, co mówią jaskółki — potrzebne są spółki.

— Bo nigdzie nie jest napisane — stwierdza dyrektorka lubelskiej podstawówki — kto właściwie ma zajmować się dziećmi.

— Zerwała się więź między szkolnym i kościelnym dekalogiem — dodała inna.

W wielu szkołach, a raczej fabrykach produkujących uczniów, liczba uczących się przekracza 2 tysiące. Jak w takich warunkach można mówić o wychowaniu? — bronią się wychowawcy klas. Jak skutecznie przeciwdziałać pogłębiającym się nerwicom u dzieci? Dlaczego uczniowie z niedorozwojem umysłowym chodzą do normalnych szkół?

Dlaczego jest tyle tych „dlaczego”?

— Bo wszyscy myślą jak przeżyć, a nikt nie myśli, jak żyć — podsumowała jedna z nauczycielek.

— W jednym z wywiadów profesor Seidler oskarżył ideologię marksistowską o to, że zburzyła istniejący system wartości moralnych, nie dając w zamian nic. I ja się z tym zgadzam. Powstała wtedy luka, którą nasi indoktrynerzy usiłowali zastąpić walką klas, zalecając przeciwdziałanie obcym ideowo wpływom. Przeszła funkcjonować rodzina w sensie współistnienia, bo za wielkie osiągnięcia epoki socjalizmu uznano możliwość pracy obojga rodziców. Do częstych obrazków naszej rzeczywistości należą dzieci biegające po podwórku z kluczami na szyi. Szkoła przestała spełniać funkcje wychowawcze, a nauczyciel i uczeń zamknęli się w dwóch różnych światach, całkowicie odizolowanych od siebie — powiedział mi Zygmunt Łupina, długoletni pedagog i poseł na Sejm.

W Wydziale Oświaty i Wychowania UM w Lublinie myślą jednak inaczej. Janina Swół, nauczyciel metodyk ds. współpracy z pedagogami szkolnymi, twierdzi, że nie jest to zjawisko niepokojące i nie ma powodów do obaw. Bo jeśli nigdzie nie jest napisane, kto właściwie ma zajmować się dziećmi...

## „Michael czyli koniec Ameryki”

Nie powiem, abym należał do stałych i uważnych czytelników pisma „Relacje”. Trafia ono do mnie z tzw. drugiej ręki, od szwagierki, która często jeździ do Lublina. Niektóre publikacje, z którymi miałem okazję się zapoznać, są interesujące (np. o pakcie Ribbentrop—Molotow). Ostatnio przeczytałem wywiad p. Anny Mickiewicz — „Michael, czyli koniec Ameryki”. Skłonił mnie do napisania tych kilku uwag, które, mam nadzieję, nasuwają się także innym czytelnikom.

Przed wszystkim mam poważne wątpliwości co do autentyczności tego wywiadu. Podejrzewam, że został po prostu wymyślony. Już wstęp budzi szereg zastrzeżeń, ponieważ jest głęboko niezgodny z mentalnością i realiami amerykańskimi. Dlaczego niby Amerykanin prosi o zachowanie tajności personaliów? Przecież jest to społeczeństwo wyjątkowo otwarte, demokratyczne i odważne w prezentowaniu własnych poglądów. Mało tego — właśnie epatowanie swymi własnymi poglądami należy do pewnego stylu. Każdy odważnie podpisuje się pod tym, co ma do zakomunikowania.

Dalej czytam, że jest to człowiek w średnim wieku, czyli — jak rozumiem — około czterdziestki. Skoro tak, to kiedy znalazł czas na ubieganie się kilkakrotnie do władz stanowych i sześć razy do Kongresu? Nawet ostrożny rachunek wskazuje, że zajęłoby to mu około 25 lat! Pomiędzy fakt, że takie „starty” są w USA bardzo kosztowne. Musiałby być zatem członkiem zamoznej rodziny, skoro tak, to dlaczego wybrał posadę tazi-drivera? W realiach USA absolwent porządnej uczelni, syn bogatych rodziców, jeżeli chce być taksówkarzem, to raczej z perwersji, a nie z wyboru. To się nie trzyma po prostu kupy!

Nie bardzo wiem, dlaczego mam takie nonsensy przyjmować do wiadomości. Nie rozumiem też, dlaczego Redakcja takiej wiary udzieliła (nie podejrzewam, aby się identyfikowała z poglądami „Mr. Mike’a”).

Wydaje mi się, że rzeczywistym powodem, dla którego amerykański „gość” „Relacji” pozostaje anonimowy, jest zawartość jego wypowiedzi. I to już musi budzić niepokój. Otrzymujemy bowiem propagandę rasizmu, nietolerancji oraz pochwałę jaszystowskiej organizacji Ku-Klux-Klanu. Jest to jednak — moim zdaniem — produkt „made in Poland”, a nie wyznania amerykańskiego tajniaka. „Mike” został powołany do życia po to, żeby przemycić na łamy obraz, z którego wynikają następujące wnioski:

1. Prawdziwą kulturą jest jedynie kultura euroamerykańska. Jest ona wystawiona na destruktywne działanie o zorganizowanym charakterze: Japończyków (wykup ziemi i przemysłu), Latynosów i Murzynów (patologia społeczna), Żydów (planu dominacji i „opanowania” polityki USA).

2. Przed tymi negatywnymi zjawiskami trzeba się oczywiście bronić. Najlepiej dobrze się uzbrajając i tworząc atomowe arsenały oraz organizując stosowne organizacje.

3. Jedną z takich organizacji jest Ku-Klux-Klan. Jest on apolityczny (cicho głosi nienawiść wobec Murzynów i Żydów), a tylko „opiera się na zasadach braterstwa” (że zacytuje in extenso p. Mickiewicz). Powołano go w celach wychowawczych, bo ciemni Murzyni nie potrafili sobie radzić z wolnością i po prostu mordowali ofiarodawców tejże. Przyczynę tępienia Żydów nie dowiadujemy się. K-K-K jest zatem fajną paczką prawdziwych facetów, którzy lubią się spotkać, pogadać, popić, popalić i nieco się wyszumieć. Ot, taka sobie niegroźna formacja dziwaków.

4. Wśród rad dla Polski znajdujemy zalecenia udania się w objęcia Niemiec (uprzednio — jak rozumiem — zjednoczonych) i szybkiego wyzbycia się uprzedzeń i niechęci wobec tychże. Natomiast ciężenie Polaków ku Ameryce jest z gruntu szkodliwe i niepożądane.

Tyle z grubsza. Poglądy te ze względu na jednoznacznie obcą polskiej tradycji politycznej, moralnej i religijnej wymowę budzą odruch obrzydzenia. Jeżeli się je przywołuje publicznie, to nadekadem uczciwości i to nie tylko zawodowej (dziennikarskiej), a po prostu ludzkiej jest jasne określenie ich pochodzenia, a nie postępowanie się pseudonimami. Dlatego też poglądy te odbieram jako prywatne pani A. Mickiewicz. Nie pojmuję natomiast, jak mogły trafić na łamy. Dopisek: „Bywają i takie poglądy” wydaje się zbyt naciągającym alibi i łatwym czytelnym zabiegiem usprawiedliwiającym.

Kierując ten list, wyrażam także nadzieję, że Redakcja unikać będzie w przyszłości podobnie zenujących „wpadek”.

Janusz Grzegorzewski  
Warszawa

Wywiad jest autentyczny. Redakcja nie identyfikuje się z wyrażonymi w nim poglądami.

(Red.)



## Dokończenie ze str. 1

Nam się nigdy nie realizuje żadna dobra idea w czystej formie, zawsze pojawiają się efekty uboczne, którym trzeba przeciwdziałać, a temu przeszkadza zapatrzenie w czystą ideę. Pojawia się to uspokajające: „Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą”. A „wiórami” możemy się przecież nie zajmować, bo mamy najpiękniejszą ideę...

— Może więc niepotrzebnie się zajmujemy ideami, ideologią, może lepiej pozostawić to filozofom, a w praktyce politycznej i społecznej oddać rację tym, którzy twierdzą, że przyszedł koniec ery ideologii...

— Proszę bardzo, tylko że społecznie żywe ideologie mają zawsze powiązanie z autentycznymi ludzkimi dążeniami. Na przykład dziś, niezależnie od tego, jak ludzie odnoszą się do socjalistycznej frazeologii, dążenia egalitarne są wcale powszechne, prawdziwe. I z nimi się tak łatwo nikomu nie uda rozprawić, zresztą chyba nie należy...

— Może raczej dążenia populistyczne niż egalitarne?

— Wie pan, my tak koniecznie szukamy kluczy terminologicznych. Po co to gmatwanie sytuacji? Przecież wiemy, że wszyscy ludzie rodzą się równi i chciałoby się, żeby później ich możliwości były realizowane w warunkach równych szans; każdy człowiek czuje się źle — chyba, że jest spodony moralnie — gdy żyje w godziwych warunkach, a ludzie wokół są głodni. To jest dążenie naturalne. Ludzie od tysięcy lat marzą o tym, by rozumieli świat, żeby świat był posłuszny naszym myślom, naszym planom.

— Ale czemuś nie chce być...

— Bo ten pan z brodą ma rację, że był określa świadomość, a nie na odwrót. A my byśmy chcieli, żeby on nie miał racji. I oto pojawia się doktryner i powiada: „Ja teraz tego dopinuję! Nastąpi era rozum! Teraz rozum będzie rządził światem. Mój rozum!” To też ma oparcie w ludzkich pragnieniach.

— A jednak upierałbym się, że ideologie są coraz mniej potrzebne, że podlegają eliminacji. Coraz częściej mamy do czynienia z sytuacją, że nie jest ważny program partyjny, lecz polityk. Od jego nazwiska i realnie prowadzonej polityki tworzy się kierunki polityczne: gaullizm, reaganizm, Thatcherizm itd. A zatem...

— To są różne nazwy prądu neokonserwatywnego, który nie przyszedł na świat polityczny Wielkiej Brytanii czy USA z głów tych osób, lecz odwrotnie — zrodził się z pewnych tendencji społeczno-politycznych, wyrażanych i promowanych przez przywódców. Byłbym tu bardzo ostrożny. Nawet chciałbym, żebyście panowie mieli rację, bo to oznaczałoby, że chomeinizm jest efemerydą, a systemy ideologiczno-doktrynerskie postrzegam jako zagrożenie dla świata.

Istotnie, w wielu dziedzinach widzę pożądaną relatywizację systemów światopoglądowych, świat nam się zespala religijnie, politycznie, ekonomicznie i to powinno relatywizować systemy ideowe. Ale tworzą się nowe zagrożenia. Integracja świata w skali globalnej wynika z rozwoju technologii, łatwości komunikowania się, siły mass mediów. To powoduje z kolei wyrównywanie się aspiracji ludzkich — ludzie z buszu zaczynają mieć aspiracje Europejczyków. Aspiracje wyrównują się, ale nie na poziomie najniższym czy średnim, lecz na najwyższym. Tylko że za tym nie połażą wyrównywanie się możliwości ich zaspokojenia. Świat zaczyna przypominać system naczyń połączonych, w którym ciśnienia rosną, a ścianki są coraz słabsze.

Mamy więc piękną ideę zespolonej ludzkości, do XX wieku ludzkość stanowiła jeszcze abstrakt filozoficzny, teraz natomiast pojawia się ludzkość jako podmiot realny i na tyle zwarty, że może w całości przetrwać lub zginąć. Rodzi się pewna nowa wartość, idea, której realizacja może być niebezpieczna.

— Dlaczego, co jej zagraża?

— Formy jej realizacji. Jeżeli Afryka ma marzenia i ambicje na poziomie Europy Zachodniej, a możliwości spełnienia są coraz odleglejsze, to to jest przecież niebezpieczne. To grozi wybuchem. I politycy zdają sobie z tego sprawę, mówiąc, że nie tylko linia Wschód-Zachód jest ważna, ale i Pół-

noc-Południe także. Jeśli wyrównywaniu aspiracji nie będzie towarzyszyć wyrównywanie możliwości, świat podąży w niebezpiecznym kierunku. A to przecież piękna idea: zespolenia ludzkości, czyż nie?

— ... która w stadium realizacji powoduje sytuację rewolucyjną. Pan jako filozof marksistowski jest na to, przypuszczam, mocno wyczulony. Pojawia nam się tu wehikuł ideologiczny, rozumiany jako — by przy marksizmie pozostać — istnienie pewnego gotowego zestawu przemysłów, koncepcji, który swego czasu można było uruchomić dzięki proletariatu skupionemu na niewielkich obszarach i przemienić w wóz bojowy, który przegrywał istniejące stosunki społeczne. W momencie rewolucyjnym.

W Polsce myśmy również mieli jakąś sytuację rewolucyjną, wypożycziliśmy sobie ten wehikuł ideologiczny i przez długi czas wydawało nam się, że założenia podstawowe myśli marksistowsko-leninowskiej są fabryką sensu. Ze wystarczy do niej pojechać, pobrać ten sens, który nam wszystko objaśni. To legło także u podstaw legitymizacji ustroju, władzy, partii. Dziś pytamy o to, czy ten wehikuł jest jeszcze przydatny, czy z niego w ogóle można korzystać. To jest w gruncie rzeczy pytanie o sens współczesnej lewicy, o sens marksizmu. I czy panu

## DORAŻNOŚĆ RODZI SIĘ Z NIEMOCY

się nie zdaje, że skoro kierowcą tego wehikułu była partia, to czy nie zaczęła ona abdykować ideologicznie już w 1956 roku?

— Ja się domyślam, że panom chodzi o wehikuł ideologiczny nie jako instrument myślenia, lecz raczej praktycznego działania. W 1956 roku partia według tego zaczęła z niego rezygnować, bo odeszła od kolektywizacji, tak pan to rozumie?

— Nie tylko. Również odeszła od religijnego traktowania całej formuły systemowej. Wtedy zaczęły się pojawiać wątpliwości...

— A, zgoda! One się pogłębiały, a w końcu lat 70. ujawniła się nieskuteczność strukturalna społeczeństwa ukonstytuowanego w myśl pewnej recepty doktrynalnej. Tylko że nie ma takiej doktryny, którą można by skutecznie, w pełni i pomyślnie dla społeczeństwa wcielić w życie. To po pierwsze, a po drugie — doktryna, która od końca lat 30. do połowy lat 50. wcielano w życie w ZSRR (potem gdzie indziej), a idea marksowska to są jednak różne rzeczy.

Przy czym ja nie chcę przez to powiedzieć, że myśl Stalina nie była marksistowska. Nie, ona się wpisala w tradycję marksistowską, przejęła pewne jej kanony. Ale, na przykład, założenie, iż „być określa świadomość” realizowano dokładnie odwrotnie. W ogóle doktryna marksowska była zbyt skomplikowana, by można ją było mechanicznie zastosować w praktyce politycznej. Sam nie wiem, czy to, co realizowano, to była doktryna ideologiczna, czy też raczej polityczno-pragmatyczna. Była to na pewno idea pełnej kontroli.

Można oczywiście, i wielu to czyni, postawić znak równości między stalinizmem i ideologią marksistowską. Tylko że tak: frazeologia niemarksistowska. Ekonomia? W latach pięćdziesiątych byłem w Moskwie. Co roku Stalin w marcu obniżał ceny, choć towarów nie było. Gdzie tu realia, jak to połączyć z marksizmem? Stało to jakiś czas pod marksowskim szyldem, na głowie, ale stało.

O co wołali ludzie w 1980 roku? O uspołecznienie. Teraz też krzyczą o uspołecznieniu. Po obu stronach, i w Solidarności, i w partii jest mętlik. Bo partia jest przywiązana do tradycji uspołecznienia, a równocześnie obciążona nieskutecznością gospodarki.

— Ale czy to jest uspołecznienie, czy upaństwowienie?

— Dobrze, dobrze, ale przecież idziemy we właściwym kierunku. Chcemy uspołecznienia, ludzie tego chcą. Jesteśmy, jako partia, biei za nieefek-

tywność gospodarki, ale równocześnie mamy wątpliwość, czy tę skuteczność osiągniemy za pomocą formuły samorządowej. A może postawić na rozwiązanie menedżerskie? Mętlik. Po drugiej stronie to samo. Oni są, z jednej strony, związani hasłami egalitarnymi, uspołecznieniem, ideą demokracji od góry do dołu, a z drugiej — też chcą wydolnej, efektywnej gospodarki — przez reprivatyzację, uspołecznioną reprivatyzację?

— Bo sukces polityczny gwarantuje efektywność ekonomiczną...

— Istotnie, tak. I trudno dziś powiedzieć, gdzie jest pragmatyzm. Jest i tu, i tam. A członkowie partii wołają: „Jasności ideologicznej!” A ja wiem, że jasność ideologiczna musi mieć swoją podstawę w skutecznym działaniu społecznym.

— Panie profesorze, a jeżeli człowiek aparatu partyjnego krzyczy dziś: „Partia ma program”, to co to znaczy, jak pan czyta to zawołanie? O co tu chodzi?

— Partia ma pewien program przebudowy struktur gospodarczych, który może być nawet skuteczny na te parę lat, ale on nie ma jasnego kierunku ideowego. To samo powiem o Solidarności, niezależnie od tego, że oni jeszcze nie mają nawet takiego spójnego programu. Powiem tak: musimy iść

na razie na pewne nierówności, co jest być może obrazą dla mojej ideologii. W imię czego? W imię pobudzenia skuteczności.

Jestem świadom, że trzeba to opłacić nierównością ludzi. Trzeba sprawiedliwość uzależnić od podziału nierównego, ale zależnego od efektywności pracy. Tylko że rzeczy idą dalej. Na przykład reprivatyzacja własności to jest dalszy krok, też związany ze skutecznością ekonomiczną. A jednocześnie wiem, że ze względów praktycznych nie można przecież powieźć: dotąd pójdziemy, a dalej nie. To jest mętna sytuacja rzeczywista. Pojawiają się konflikty interesów, nierówności społeczne, które po przekroczeniu pewnej granicy mogą stać się groźne.

Owszem, ich groźba może być zmniejszona pod warunkiem, że podniesie się wydolność gospodarki i minimum życia będzie względnie wysokie. Wtedy ludzie mogą znieść pewne nierówności, natomiast gdy to minimum spada, przyjmują wszystko z dezaprobatą.

Otóż ta niejasność sytuacji w obu obozach jest porównywalna. Filozof może sobie oczywiście napisać wypracowanie, natomiast polityk nie będzie w stanie z tego wypracowania skorzystać.

— A z czego w takim razie może skorzystać polityk, z jakich doświadczeń? Do jakiego programu powinien się odwoływać, bo to jest raczej kwestia jasności programu politycznego niż czystości ideowej?

— Z opracowań doraźnych, pragmatycznych, prognoz kilkuletnich. Natomiast to, co się dzisiaj proponuje w dalszej perspektywie, to są frazeologie, powiedziałbym, raczej mało przydatne.

— Pan jest członkiem Komitetu Centralnego PZPR. Czy pańskim zdaniem partia jest w kryzysie?

— Pewnie, że jest.

— Jeżeli tak, to dlaczego i co można zrobić, żeby znaleźć z tej sytuacji wyjście? Dla siebie, nie mówiąc już o kraju, gospodarce i społeczeństwie.

— Partia jest w kryzysie na skutek nieskuteczności przede wszystkim gospodarczej, ale nie tylko. Doktryna ideologiczna i polityczna partii utraciła zaufanie większości społeczeństwa. Ujawniło się to w wyborach. Skutek jest taki, że społeczeństwo jest wobec partii nieufne nawet wtedy, gdy z jej strony wypływają interesujące oferty i niewątpliwe prawdy, natomiast opozycji ludzie wierzą nawet wtedy, gdy przedstawia ona propozycje bardzo wątpliwe.

— A nie sądzi pan, że partia po prostu nigdy nie miała zaufania tej większości społeczeństwa?

— Różnie to bywało w różnych okresach. Ale chyba pan nie zaprzeczy, że w październiku '56 partia miała wręcz manifestacyjne zaufanie.

— Raczej miał je Gomułka...

— Owszem, zgoda. Tylko że zaufanie zwykle jest funkcją skutecznego działania. Do połowy lat 70. istniała odbieralna skuteczność polityki partii — i ona cieszyła się poparciem. Pod koniec dekady lat 70. skończyły się środki skutecznej polityki i kiedy doszło do kryzysu sierpniowego, partia nie była w stanie tego konfliktu korzystnie rozwiązać i przyszyły działania pozapartyjne... Stan wojenny był obnażeniem tej nieskuteczności. Niemożność sprawowania władzy starymi metodami osiągnęła taki poziom, że trzeba było wystąpić z ofertą rozszerzonej odpowiedzialności za kraj.

— I przegrać wybory.

— Tak, bo po raz pierwszy powstała sytuacja, która zmusiła partię do wejścia w nurt życia politycznego. To znaczy taka sytuacja, że wpływy partii nie zależą od posiadania władzy, lecz to władza zależy od wpływów w społeczeństwie. Otóż, po pierwsze, partia musiała w ten nurt wejść, ale po drugie — jak dotąd — robi to BEZPIECZNIE. I jeśli uda się to jej do końca, mimo słabości, to to już będzie wielki sukces, sukces dla Polski. Jeśli uda się jej to uczynić bezpiecznie dla Polski. Zwłaszcza, gdy uświadomimy sobie, że do tego stanu rzeczy zaczęliśmy dążyć od 13 grudnia. To jest fenomen! Przecież partnerami u władzy stali się ludzie z obu stron grudniowej barykady.

Leży mi jednak na wątrobie pewna sprawa: w świadomości społecznej utrwalilo się już, jaki udział i jaka odpowiedzialność za stan wojenny ciąży na partii i władzy. Ale myślę, że nie zmadrzejemy, dopóki druga strona nie zacznie dyskutować o tym, jaki ona miała udział w doprowadzeniu do 13 grudnia.

— To znaczy jaki?

— Mogłbym tu odwołać się do własnej przestrogi z 1981 roku, do wizji rozsiewanego prochu. Ci, którzy go wtedy rozsiewali, wiedzieli, co się dzieje na Wschodzie. A w każdym razie powinni byli wiedzieć. To wymaga gruntownego przemyslenia. Tylko zdaje mi się, że to będzie przedmiotem dyskusji dopiero wtedy, gdy partia wejdzie w nurt polityczny do końca w sposób bezpieczny dla Polski.

— Pan ma na myśli wyłącznie zagrożenie radzieckich interesów w Polsce?

— Teraz? Nie, teraz uchylam tę możliwość. Mówiłem o roku 1981. Wtedy zresztą też nie były zagrożone wyłącznie interesy radzieckie, ale także polskie, interes Europy. To trzeba rozpatrywać nie w tych kategoriach! Ja wyczuwam różnicę sytuacji. Mówię o bezpieczeństwie wewnętrznym Polski, o niedopuszczeniu do awantur i napaści, o bezpieczeństwie gospodarczym, niedopuszczeniu do ruiny walczącej się ekonomiki. Co nie znaczy, że lekceważę otoczenie zewnętrzne kraju. Nie lekceważę!

— Czy w tej zrzeczności, z jaką partia wchodzi w nowy układ polityczny, upatruje pan podstawową szansę odzyskania przez nią pozycji, czy też w innych jeszcze czynnikach. Czy takie w ogóle istnieją?

— Oczywiście, że widzę i inne szanse, ale nie mam gotowej recepty, jak je wykorzystywać. Natomiast kiedy pan używa słów: „w tej zrzeczności”, to trochę śmiesznie brzmi. Przecież my akurat mieliśmy lawinę niezrzeczności.

— Ale w polityce czasem rzeczy niezrzeczne akurat przynoszą sukces.

— To różnie. W wyborach czerwcowych atmosfera tak sprzyjała opozycji, że nawet niezrzeczności przekształcały się w zysk. Natomiast tak bardzo nie sprzyjała nam, że nawet zrzeczne operacje nie pomagały. A mimo to partia uzyskała sporo głosów i zaczęła z powodzeniem lokować się w życiu politycznym.



— A ciąg dalszy, co pan przewidyje?

— Jestem przerażony, przerażony sobą — tym, jak mało mogę przewidzieć. Na dobrą sprawę mogę tylko powiedzieć, czego bym chciał, bo moje możliwości przewidywania są bardzo ograniczone. I obawiam się, że wszystkie nasze piękne pomysły, innowacje w sferze politycznej zaważą się, jeżeli nie znajdziemy sposobu poprawy sytuacji gospodarczej. To dotyczy nas, Węgrów, pieriestrojki, wszystkiego.

Widzicie panowie, od kilku lat chodzę po świecie, mając na czubku głowy fragment z „Biesów” Dostojewskiego, w którym jeden z bohaterów powiada: „Ostatnio zaczęto mówić u nas o pieriestrojce...” To znaczy Dostojewski pisze: „opinia publiczna”, ale ja traktuję te wyrażenia synonimicznie. Jakaś u nas może być opinia publiczna? Na opinię publiczną, na demokrację trzeba sobie zapracować. Opinię publiczną mogą mieć ci, którzy umieją pracować — i to na ciągłe ci sami: Niemcy, Francuzi, Holendrzy. Tego się nie ustanawia, nie wymyśla, trzeba to wypracować ciężkim trudem. I niczego uczciwszego, mądrzejszego na temat pieriestrojki nie znam.

— Tak nisko pan ocenia własne społeczeństwo?

— To nie jest kwestia ocen i sentymentów, tylko realiów politycznych. Ja mówię o pieriestrojce i myślę o tym z niepokojem, bo tak bym chciał, by im się powiedziało, i nam, którzy jesteśmy z nimi sprzężeni. Jeśli na Wschodzie nie ruszą skutecznie w najbliższym czasie spraw gospodarczych, to cała ich głośność stanie się narzędziem wewnętrznego wybebeszenia. Wywleczenia wszystkich podłości, zbrodni, ich kompleksów i fobii, stanie się środkiem samoponiżenia. Głośność może być środkiem nobilitacji tego społeczeństwa pod warunkiem, że zacznie ono godziwie żyć. W przeciwnym razie wywlecze wszystkie upiory rosyjskiego mistycyzmu.

Myśmy tu mówili o ideologii. Proszę zauważyć, że nastawienie na doświadczenie (a więc bezideologiczność) rodzi się z niemocy. Ale jeśli ta niemoc przekracza pewne granice, to eksploduje tak potworna ideologia, takim chemicznym, że...

— Panie profesorze, mówił pan z niepokojem o sobie. Powiada pan, że nie potrafi przewidzieć, co będzie — to pana niepokoi, podzielał ten niepokój. Natomiast może pan określić, co chciałby pan, żeby się stało — i mówi o gospodarce jako determinancie bezpieczeństwa i rozwoju. Ale postępek ekonomiczny — to nie Deus ex machina, lecz jest wynikiem zmian politycznych, stabilizacji politycznej. Konkretnie więc, jakie siły polityczne mogą, pańskim zdaniem, stabilizować polską sytuację polityczną na przestrzeni najbliższych 5—10 lat?

— Myślę, że ciągle jednak partia, jeśli obroni w tych nowych warunkach swoją spójność, Kościół, a także ruch Solidarności. Ale to wszystko w kategoriach nadziei. Nadziei i obserwacji kilkuletniej i kilkumiesięcznej. Skuteczność tych trzech stabilizatorów politycznych zależy jednak od tego, co się będzie działo w gospodarce, na ile ona będzie skuteczna. Jeżeli i tam nie pojawi się źródło nadziei, to za plecami tych trzech formacji wyrosną siły, które poderwą społeczny ruch odnowy. A wtedy posłuch dla tych trzech sił może rozpaść się w ciągu tygodni czy miesięcy.

Moje credo jest takie: byśmy, rozszerzając stale granicę wolności życia politycznego, jednocześnie odciążali gospodarkę od balastu ideologiczno-politycznego. Żeby tak naprawdę zaczęły rządzić wymogi ekonomiczne. Chodzi mi o to, by pewne globalne problemy były rozstrzygane w skali globalnej, natomiast by zakład pracy nie ponosił odpowiedzialności z powodu różnic, sporów, konfliktów politycznych. Wszak są takie systemy polityczne, gdzie...

— ...polityka zatrzymuje się u bram fabryki.

— Tak właśnie.

— Czyli teza, że należy wyprowadzić politykę, a w konsekwencji przecieć i partię, z zakładów pracy nie jest rewizjonizmem?

— Owszem jest, ale trzeba się na to zdecydować.

Rozmawiali:  
Franciszek Piątkowski  
Leszek Wiśniewski

Spisał: Leszek Wiśniewski

„Rządy bezprawia przekroczyły wszelkie granice”

## ZWROT PAŹDZIERNIKOWY 1944

Janusz Wrona

Z MOSKIEWSKĄ wizytą Churchill-la i Mikołajczyka w październiku 1944 r. — pisze K. Kersten — wiąże się dotąd nie wyjaśniona sprawa puczu, przygotowywanego jakoby w Lublinie dla obalenia PKWN. 12 października 1944 r. Rola-Zymierski, który przebywał w Moskwie z delegacją PKWN, został poinformowany telefonogramem, iż według konfidencjonalnych informacji, zjednoczone siły AK, BCh, NSZ i ZWZ (! — K.K.) organizują pucz w związku z oczekiwanym przyjazdem Mikołajczyka do kraju. Akcja ta ma umożliwić kompromis i uwolnić Mikołajczyka spod kontroli komunistów. Jako inspiratorów wymieniano płk. Pełczyńskiego (! — K.K.), który w rzeczywistości znajdował się w niewoli niemieckiej. Telefonogram kończył się konkluzją: „Sytuacja przedstawia się znacznie poważniej, niż mogło się здаwać». Kolejne depesze stwierdzały, iż pod presją BCh zrezygnowano z podejmowania akcji nie uzgodnionej z Mikołajczykiem, ograniczając się do działań dywersyjnych, zawierały też informacje o dezercjach z wojska. Jakkolwiek interpretować ten zbiór depesz — konkluduje K. Kersten — przedstawiony w nim obraz jest nieprawdopodobny, co nie musi oznaczać, iż cała sprawa od początku do końca była czystą mistyfikacją i częściowo przynajmniej nie była osadzona w realiach”.

Historię nie może uniknąć refleksji, iż wydarzenie to na pewno służyło PKWN w tworzeniu psychozy obłożonej twierdzy. Kto był natomiast rzeczywistym animatorem omawianych działań: czynniki radzieckie czy też działacze komunistyczni z kręgu PKWN? Materiały wspomnieniowe ukazują obraz różnego podejścia taktycznego w kierownictwie PPR do rozgrywających się wydarzeń. A może był to element walki o wpływy w rodzącej się komunistycznej elicie władzy? Dostępna dziś baza źródłowa nie daje odpowiedzi na te pytania.

Wiemy natomiast, jak wykreowany sztucznie wzrost napięcia politycznego w Polsce zinterpretowany został na Kremlu. Stalin nawiązał do wydarzeń w Lublinie podczas spotkania z delegacją PKWN: „W związku z wiadomością o przygotowaniach AK do wystąpienia zgodził się, aby Bułganin pojechał do Lublina. Na wyjazd Zymierskiego nie zgodził się” — informował w swoim sprawozdaniu z pobytu delegacji w Moskwie B. Bierut. „Stalina zdenerwowała nieco wiadomość o dezercji 31 pułku. Zarzuka nam — kontynuował Bierut — że chcieliśmy odsunąć Czerwoną Armię, że traktujemy ją jako obcą armię itp. Telefonicznie dał natychmiast zarządzenie do Rokossowskiego i NKWD w związku z sytuacją w Polsce. W pierwszym momencie wyraził się, że wprowadziliśmy i siebie, i jego w błąd przy ocenie sił przeciwnika. Obecnie należy nam wziąć za łeb przeciwnika, a nie występować w obronie AK [podkreślenie — J.W.] tak, jak kiedyś Gorki poróżnił się z Leninem na tle represji. Jednakże uważał, przypominając Marksa, że ma to i dobre strony, gdyż kontrrewolucja pobudza do czynu rewolucję. Bez tego rewolucja zatracą czujność. Nas też pobudzi do czynu kontrrewolucja [podkreślenie — J.W.]”.

Czyżby więc „kontrrewolucja” z października 1944 r. pojawiła się niejako na zamówienie dialektycznej teorii rozwoju dziejów, tłumaczącej rozwój walką wewnątrz przeciwników?

Nie należy tego wykluczyć. Ziemię między Wisłą a Bugiem stanowiły jesienią 1944 r. swoiste laboratorium, gdzie według przygotowanego i zapewne modyfikowanego scenariusza, dokonywano w sercu Europy niebywałego eksperymentu politycznego i społecznego. Nieprzypadkowo przemiana w Polsce stały się swoistym wzorcem, na który Stalin wskazywał przywódcom innych partii komunistycznych. W oparciu o Armię Czerwoną, wbrew zde-

cydowanej woli większości społeczeństwa, dokonywano operacji przeszczepu na grunt polski systemu komunistycznego wzorowanego na ustroju ZSRR. Oczywiście, znając stan pacjenta, od początku uspokajano jego obawy. Tłumaczono, że chodzi o realizację demokratycznego programu zawartego w Maniście PKWN, notabene nigdy nie zrealizowanego w powojennej rzeczywistości.

Ale jesienią 1944 r. kontynuacja eksperymentu przeszczepienia systemu komunistycznego wymagała, zdaniem realizujących zabieg, zastosowania kuracji wstrzaśkowej, która, mimo ubocznych skutków, miała zagwarantować, że przeszczep nie zostanie odrzucony. Dla powodzenia tej fazy operacji potrzebna była kontrrewolucja, która pobudzić miała „zdrowe siły narodu” do pogłębienia procesu rewolucyjnego. W duchu takiej filozofii oceniał sytuację w Polsce Józef Wiśniewski i tak też ją przedstawiał zasłuchanym w jego słowa przywódcom KRN i PKWN.

Główną rolę w procesie pacyfikacji nastrojów społecznych przypisano początkowo wojsku. 13 października szef Głównego Zarządu Polityczno-Wychowawczego WP, płk Wiktor Grosz, wydał instrukcję „O przeprowadzeniu ćwiczeń przez wydzielone jednostki na terenach objętych wpływami Armii Krajowej”.

Jednocześnie zapadły decyzje o budowie wojsk wewnętrznych, podległych szefowi resortu Bezpieczeństwa Publicznego PKWN, płk. St. Radkiewiczowi. Na mocy specjalnego rozkazu Radkiewicza utworzono dwa bataliony operacyjne, batalion ochrony PKWN, batalion wartowniczy i Centrum Wyszakowania Wojsk Wewnętrznych. W kadry dowódczej znaleźli się rosyjscy oficerowie z NKWD.

„Niezależnie od szybkiego zwiększenia liczebności i szkolenia wojsk wewnętrznych — pisze T. Zenczykowski w książce „Polska Lubelska 1944” — pierwsze ich jednostki już w listopadzie przystąpiły do akcji, którą nazwano »rozbrajaniem terenu”. Przeprowadzano ją w powiatach zamojskim, tomaszowskim i biłgorajskim, posiadających opinię najbardziej opozycyjnych i podległych wpływom AK i BCh. Takie »rozbrajanie» polegało na »przeczesaniu» tych powiatów dla usunięcia z nich lub unieszkodliwiania przeciwników władzy ludowej tzw. »elementów reakcyjnych». [...] Nękająca operacja, której poddano gminy i miasteczka w paru powiatach, wymierzona była nie tylko przeciwko ukrywającym się żołnierzom AK i BCh, ale również przeciwko miejscowej ludności, a więc w pierwszym rzędzie przeciwko chłopom należącym do Stronnictwa Ludowego — »Rocha», niewątpliwie najsilniejszego ugrupowania politycznego na Lubelszczyźnie”.

Działania jednostek wojskowych wspomagały w terenie specjalne oddziały NKWD. W miastach operacji oczyszczania z niepożądanych dla władzy elementów dokonywało przede wszystkim NKWD i rodzime UB. Gen. Zygmunt Berling, który w końcu października został odwołany do Lublina, gdzie jako członek PKWN i poseł KRN zajął się kontrolą funkcjonowania organów porządku publicznego oraz więziennictwa, scharakteryzował w bardzo ostrych słowach zaistniałą sytuację w memoriale do kierownictwa PKWN, wskazując, że organa bezpieczeństwa brutalnie łamią i nadużywają prawo. W jednym ze swoich późniejszych oświadczeń, odnosząc się do sytuacji z jesieni i zimy 1944 r., pisał:

„Zupełnie niewinnych ludzi deportowano i wtrącono do więzień. Dosłownie nikt nie czuł się bezpieczny. Naczelnik prokurator wojskowy powiedział mi po powrocie z inspekcji, na którą wysłałem go do więzień Przemysła, Zamościa i Lublina, że trzyma się tam ponad 12 tysięcy ludzi. Nikt nie wie, jakie zarzuty im się stawia, przez kogo

zostali aresztowani i co się zamierza z nimi uczynić. [...] Rządy bezprawia przekroczyły wszelkie granice, cierpienia ludzkie były takie, że nie można było tego znieść. Musiały one rewoltować każdego uczciwego człowieka bez względu na jego polityczne poglądy albo przynależność partyjną”.

Podjęte przez Berlinga działania, by surowo ukarać odpowiedzialnego, przynajmniej formalnie, za ten stan St. Radkiewicza, nie przyniosły rezultatu.

Wykorzystanie Wojska Polskiego do zastrzeżenia nacisku na społeczeństwo wymagało rozwiązania szeregu innych problemów związanych z funkcjonowaniem polskiej armii. Nieco upraszczając, można je sprowadzić do trwającego komunistów od powstania I Dywizji dylematu, czy w Polsce ma być wojsko narodowe, czy też klasowe? Sformułowania Manifestu PKWN i praktyka z sierpnia i września 1944 r. zdawały się świadczyć o istnieniu swóistego kompromisu w tej kwestii. Ale najważniejsze znaczenie zwrotu październikowego (niedostrzeżane w literaturze) uwiaryściło się w momencie, gdy partyjni przywódcy odradzającego się państwa z B. Bierutem i W. Gomułką na czele opowiedzieli się za klasowym charakterem armii i zerwaniem z zasadą apolityczności sił zbrojnych.

Nowa rola i pozycja armii miała wynikać z bezwzględnego podporządkowania jej kierownictwu partii komunistycznej. Przypomnijmy, działo się to w październiku 1944 r., u zarania Polski Ludowej, gdy nadzieje społeczeństwa związane były z wizją Polski demokratycznej, zaprezentowaną najpełniej w deklaracji Rady Jedności Narodowej „O co walczy naród polski” z marca 1944 r. Czytamy tam m.in.: „Zbrojnym ramieniem Rzeczypospolitej będzie armia narodowa, stojąca poza polityką i poświęcona zadaniom zewnętrznego bezpieczeństwa państwa i narodu, armia przesiąknięta duchem demokratycznym, otoczona miłością i zaufaniem całego społeczeństwa”.

Problemy modelu tworzenia i funkcjonowania w Polsce sił zbrojnych rozstrzygnięte zostały na posiedzeniach Biura Politycznego KC PPR w dniach 22 i 31 października 1944 r. Dodać należy, iż przyjęte rozwiązania rzutowały przez 45 lat, do dnia dzisiejszego, na odbiór i ocenę LWP w społeczeństwie, czego wyrazem są formułowane obecnie postulaty domagające się odpolizowania polskiej armii.

Problemy wojska pojawił się 22 października w bezpośrednim związku z dyskusyjnym na Biurze Politycznym kryzysem PKWN, wynikłym z postawy ludowców, oraz przy analizach wariantu powrotu do Polski St. Mikołajczyka. Sprawy wojskowe referował Marian Spychalski. Uznał on „wojsko jako zagadnienie centralne dla partii. Stan obecny w Armii jest więc nie groźny z punktu widzenia partii. AK opanowała wiele ogniw. Musimy przede wszystkim mieć wytkniętą linię pracy w wojsku i postawić partię na takim stanowisku, że musi ona mieć wpływy decydujące na pobieranie wszystkich ważniejszych decyzji czy to przez gen. Rolę, czy też przez Dowództwo Główne”.

Katastroficznym ton podtrzymywał Aleksander Zawadzki, przy czym personalnie czynił on odpowiedzialnym za zaistniałą sytuację gen. Michała Rola-Zymierskiego, szefa sztabu Obrony Narodowej PKWN, formalnie bezpartyjnego, faktycznie członka kierownictwa PPR: „Decyduje o tym Rola sam. Nie ma sprawnego wydziału kadrów. Proponował gen. Roli, by stworzyć specjalną komórkę dla filtrowania AK-owców. [...] Partyjna robota zupełnie leży. [...] Na odprawach sprawę oficerów AK postawił bardzo ostro. Trzech oficerów AK wystąpiło z protestem przeciwko traktowaniu ich w ten sposób, gdyż oni uczciwie chcą służyć. Oświadczył, że to ich nie tyczy”.

(Koniec odcinka 5. — cdn.)



## FALSZYWE KENNKARTY

**K**ILKASET metrów za lubelskim Domem Kultury Kolejarskiej, od głównej arterii dzielnicy Dziesiąta — ul. Kunickiego, odchodzi niepozorna, zabudowana parterowymi domkami ulica Spacerowa. Jedną z wielu podobnych, tworzących rozległy i zagmatwany labirynt tej średnio zamożnej, tradycyjnie kolejarskiej dzielnicy. Kiedyś w miejscu dzisiejszej asfaltowej jezdni biegła piaszczysta droga, nie było ulicznych lamp, a w pobliżu znajdowało się wodne rozlewisko.

W latach okupacji dom Józefa i Teofili Zakrzewskich przy ul. Spacerowej 15 był oznaczony numerem trzynastym. Nie była to jednak trzynastka feralna, lecz — szczęśliwa. Od jesieni 1939 r. aż do lipca 1944 f. mieścił się tu jeden z najbardziej operatywnych punktów lubelskiego życia konspiracyjnego, ale nigdy Niemcom nie udało się wpaść na trop działalności rodziny Zakrzewskich. A tymczasem — właśnie tutaj, „pod trzynastką”, produkowano fałszywe dokumenty dla potrzeb Armii Krajowej, tutaj ukrywano broń, tu pan Zakrzewski wraz z żoną i dwójkiem starszych dzieci — Jurkiem i Halinką, produkowali zapalniki do granatów, tzw. „sidolówek”, wytwarzanych masowo w Lublinie przez różne, rozsiane po mieście, konspiracyjne „zakłady zbrojeniowe”. Produkcja ta szła nie w setki, nie w tysiące, ale — w dziesiątki tysięcy... Mało kto wie, ale właśnie Lublin był w latach okupacji trzecim w kraju — po Warszawie i Krakowie — „centrum” produkcji granatów.

Dzisiaj w domku przy ul. Spacerowej pozostała już tylko osiemdziesięcioletnia pani Teofila. Mąż zmarł w 1977 r.; Jerzy i Halina założyli własne rodziny i przenieśli się do innych dzielnic; nie żyje najmłodszy syn, Stanisław, w którego niemowlęcym wózku, pod materacem, przewoziła kiedyś na punkt kontaktowy — zapalniki do granatów... Ale dom pozostał taki sam jak przed pół wiekiem; nawet przemyślna skrytka w kącie pokoju, pod piecem, gdzie przechowywano broń, radio, zapalniki, dokumenty, fałszywe pieczętki i maszyny do pisania, pozostała w nienaruszonym stanie. Wystarczy tylko nacisnąć w odpowiednim miejscu — i odskoczy wieko...

Józef Zakrzewski reprezentował ten typ ludzi „zwykłych”, których, wbrew pozorom, stać na czyni niezwykle. Kto by się spodziewał po tym rzemieślniku, właścicielu warsztatu modelarskiego przy równoległej do Spacerowej ulicy Kotlarskiej, tych niezwykłych talentów organizacyjnych, tej przedsiębiorczości, i — tej odwagi, która przez pięć prawie lat pozwalała mu spać spokojnie, kiedy codziennie, wraz z całą rodziną, ryzykował życiem? Produkował fałszywe kennekarty, faszerował prochem zapalniki granatów, prowadził nasłuch radiowy, dowodził plutonem Armii Krajowej... A jeszcze musiał zarabiać na chleb, starać się o zamówienia, o materiały dla warsztatu. Bo od konspiracji za swoją działalność pieniędzy nie żądał.

Kiedy wybuchła wojna, pan Zakrzewski miał trzydzieści siedem lat. Lublinianin, nieledwie z urodzenia, bo jego ojciec, kolejarz, osiedlił się w Lublinie, w dzielnicy „za Kukrownią”, jeszcze przed pierwszą wojną światową — pan Józef w wieku kilkunastu lat poszedł do terminu u majstra Kuśmierka renomowanego modelarza. Później, kontynuował naukę fachu u majstra Kulika przy ul. Wesołej. Aż wreszcie sam zrobił dyplom mistrzowski.

Modelarstwo — to zawód rzadki, a przy tym — nietatwy. Modelarz wykonuje z drewna formy dla odlewów giserskich: od zwykłych kranów, po koła sieczkarni lub kieratów; od podstaw do wag, po... precyzyjne korpusy zapalników do granatów. Idealnie dokładną drewnianą formę przyszłego odlewu, „rozpracowaną” na poszczególne elementy, odciska się następnie w specjalnej glince giserskiej. Ale to już wchodzi w zakres pracy gisera-odlewacza, który następnie „matrycę” z gliny wypełnia roztopionym metalem. Za-

krzewski nigdy nie pracował jako giser, ale będąc modelarzem, musiał poznać dobrze także tajniki giserstwa. To mu się przydało w wiele lat później, w robocie konspiracyjnej.

W czasie wojny 1920 r. jako osiemnastoletni chłopak zgłosił się Józef Zakrzewski na ochotnika do wojska. Po jej zakończeniu odsłużył — już „z poboru” — swoje dwa lata zasadniczej służby wojskowej w 9 pułku piechoty w Zamościu jako saper. Wyszedł do cywila w stopniu kaprała. Jeszcze podczas służby wojskowej poznał w Zamościu pannę Teofilę Peresadę. Pobrali się, rozpoczęli wspólne życie. Zamieszkali w Lublinie, najpierw w małym, drewnianym domku przy ul. Kotlarskiej 9, który wybudowali w 1929 r.; później przenieśli się do lepszego, murewanego, na ul. Spacerowej 13. Stojąca przy Kotlarskiej drewniana „hacienda” była odtąd użytkowana tylko jako warsztat rzemieślniczy. W 1928 r. urodził się Zakrzewskim syn Jerzy; w trzy lata później przyszła na świat Halina; najmłodsze dziecko, Stanisław, miało urodzić się dopiero podczas okupacji, w 1943 r.

## Mirosław Derecki

Już po wybuchu wojny, w którymś z pierwszych dni września 1939 r. Józef Zakrzewski otrzymał kartę mobilizacyjną do 44 pułku piechoty w Równem. Do pułku nie zdołał dotrzeć; nastąpiły wydarzenia 17 września. Po kilku dniach tułaczki — udało mu się powrócić do Lublina.

Majster Zakrzewski zaczął swoją prywatną wojnę z Niemcami od tego, że nie oddał radia, mimo że groziła za to kara śmierci. Zaczął też zbierać pozostałą po kampanii wrześniowej polską broń — karabiny i rewolwery. Wtedy właśnie zbudował pod podłogą w domku przy ul. Spacerowej obszerną skrytkę. Wład do skrytki zamaskowany był leżącą przed drzwiczkami pieca blachą, która chroniła deski przed wypadającymi z paleniska rozżarzonymi węgielkami.

Późną jesienią, lub na początku zimy 1939 r. Zakrzewski stał się członkiem tajnej organizacji — Komendy Obrońców Polski. Założony przez majora Bolesława Studzińskiego KOP był organizacją rozwijającą się niezwykle dynamicznie i z miesiąca na miesiąc rosnącą w siłę. Członkowie KOP rekrutowali się najczęściej spośród oficerów i podoficerów rezerwy Wojska Polskiego; było w niej także wielu przedstawicieli sfer inteligentnych oraz rzemieślników. W Lublinie należało do KOP wielu kolejarzy. Może kontakt z organizacją otrzymał Zakrzewski właśnie dzięki jakiemuś znajomemu kolejarzowi z dzielnicy Dziesiąta lub koledze — rzemieślnikowi?

KOP szczególnie silnie rozbudowana była na Lubelszczyźnie. Tutaj w pewnym okresie znajdowała się jej Komenda Główna; tutaj rezydowała rada polityczna tej organizacji: Komitet Obywatelsko-Patriotyczny. Działaniem swoim KOP obejmowała całą Polskę. Istniały także placówki zagraniczne — na Węgrzech i w Rumunii. Kamendzie Głównej podlegało dziewięć wydziałów, m.in. organizacyjny, bezpieczeństwa (wywiad i kontrwywiad), uzbrojenia, kierownictwa akcją sabotażowo-dywersyjną. Struktura organizacyjna KOP przypominała trochę późniejszą strukturę Armii Krajowej: kraj był podzielony na trzy inspektoraty; podlegały im „okręgi” — odpowiadające województwom; dalej szły „obwody” (instancje powiatowe), „rejon” (gminy), i wreszcie — „placówki”.

Zakrzewscy kolportowali w tym czasie nielegalne gazetki KOP, prowadzili stały nasłuch radiowy, „wydając” następnie odręcznie pisane „biuletyny”, dawali schronienie osobom kierowanym przez KOP w stronę południowej granicy Polski. Byli to zazwyczaj młodzi ludzie, pragnący przedrzeć się do

Francji, do polskiego wojska tworzonego przez generała Sikorskiego.

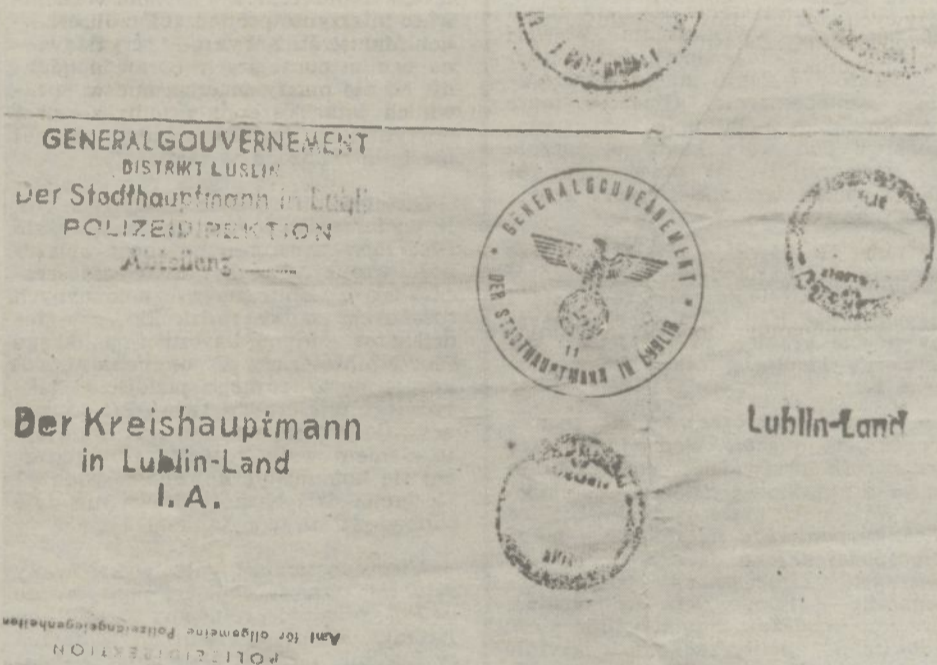
Być może właśnie wtedy Józef Zakrzewski poznał u jednego ze swoich znajomych — Witolda Waberskiego, który był uciekinierem z Poznańskiego, a w Lublinie pracował jako kierownik browaru przy ul. Bychawskiej, trochę tajemniczego pana. Przedstawił się on jako Wacław Topolski. Znajomość ta miała następnie zaowocować wieloletnią współpracą konspiracyjną. Szczególnie w okresie, gdy Topolski — po rozpadnięciu się Komendy Obrońców Polski, w szeregach której prowadził ożywioną działalność — przeszedł do Służby Zwycięstwu Polski, a następnie do Armii Krajowej. Tam znalazł się także Józef Zakrzewski.

„Wielka wyspa”, jaka nastąpiła pod koniec 1940 r., rozpracowanie KOP przez gestapo, liczne masowe aresztowania członków organizacji na przełomie 1940 i 1941 r., były początkiem zagłady Komendy Obrońców Polski. Wielu jej członków miało następnie znaleźć się w ZWZ-AK (w Lublinie konferencja scaleniowa odbyła się w

pieczętek, blankietów dokumentów oraz „pustych” kennekart. Ale to już było po tym, jak Józef Zakrzewski („Ignac”) oraz jego żona Teofila („Bajka”) zostali wciągnięci do konspiracji w szeregach Związku Walki Zbrojnej przez Jana Litwiniuka.

Jan Litwiniuk („Jadźwing”, „Szczęsny”), mąż lubelskiej lekarki Kazimierzy Litwiniukowej, był przed wojną urzędnikiem bankowym. Znalazł się w 1939 r. wraz z całą rodziną w Lublinie, zamieszkał u państwa Majewskich, kuzynów żony, w ich domku, stojącym przy ul. Wypiańskiego w dzielnicy Dziesiąta. Do Związku Walki Zbrojnej wstąpił latem 1940 r., przyjął go do tej organizacji ówczesny Komendant Okręgu Lublin — pułkownik Tadeusz Pelczyński („Adam”). Na chleb zarabiał Litwiniuk jako elektrotechnik, wspólnik przedsiębiorstwa: „Zakład Elektrotechniczny, inż. S. Luberadzki w Lublinie, ul. Wypiańskiego 5”. Przedsiębior-

## ZAKRZEWSKA WYTWÓRNIĄ BRONI



Odbitki fałszywych pieczętek do kennekart produkowanych przez Zakrzewskich.

Repr. Waldemar Stępień

stwo prowadziło także sklepik z artykułami elektrotechnicznymi (pracował w nim przez pewien czas, jako sprzedawca, właśnie płk Pelczyński). Zakład Luberadzkiego i Litwiniuka współpracował (prace instalatorskie) z jednostką budowlano-administracyjną Wehrmachtu, co pozwalało Litwiniukowi na prowadzenie działalności wywiadowczej. A jednocześnie dawało jemu i jego pracownikom doskonałą „osłonę” przed gestapo i niemieckim wywiadem.

Jednym z współpracowników firmy był Józef Zakrzewski, który wykonywał m.in. „modele” na odlewy produkowanych przez „Zakład Elektrotechniczny” kuchenek elektrycznych. Kiedy poznali się bliżej, Litwiniuk postanowił wciągnąć go do konspiracji.

Był już wówczas Jan Litwiniuk komendantem 3 rejonu SOP (Służby Ochrony Powstania), obejmującego swym zasięgiem południową część Lublina. Powołana do istnienia właśnie w 1941 r., Służba Ochrony Powstania (w 1943 r. przemianowano ją na Wojskową Służbę Ochrony Powstania) grupowała w swych szeregach żołnierzy podziemia ze starszych roczników (1891—1903) i miała być wykorzystana do zadań pomocniczych w czasie planowanego w przyszłości powszechnego powstania. Na co dzień członkowie SOP prowadzili ograniczoną działalność wywiadowczą na swoim terenie, obserwowali i składali meldunki o miejscowych szmalcownikach i donosicielach,



proceedzili akcje zastraszające wobec „kapusiów” lub spekulantów. A także, znając doskonale teren, z którego się wywodzili, mogli w każdej chwili służyć radą, informacją, pomocą dla żołnierzy AK z „pierwszego rzutu”. Z czasem Litwiniuk powierzył Zakrzewskiemu komendę jednego z plutonów WSOP — plutonu „302” — składającego się z kilkudziesięciu ludzi (zastępcą Zakrzewskiego był Stanisław Świtek, blacharz z zawodu), a w końcu mianował go zastępcą komendanta rejonu.

Zasadnicza działalność Jana Litwiniuka koncentrowała się na trzech kierunkach: 1) Uposażeniu treści audycji radiowych nadawanych przez BBC. 2) Pomagania młodym AK-owcom w uzyskaniu legitymacji. 3) Udzielania pomocy przy wytwarzaniu i przechowywaniu zapalników do granatów, potrzebnych leśnym oddziałom AK (jak miał napisać on sam w latach sześćdziesiątych w relacji znajdującej się dziś w dziale zbiorów specjalnych lubelskiej Biblioteki im. H. Łopacińskiego; zespół dokumentów i relacji I. Cabana i Z. Mańkowskiego).

## W LUBLINIE

Do współpracy Wacława Topolskiego i Józefa Zakrzewskiego przy produkcji fałszywych dokumentów doszło najprawdopodobniej właśnie za sprawą Jana Litwiniuka.

Oddziałowi I Sztabu Komendy Okręgu AK w Lublinie, na którego czele stał od stycznia 1943 r. do lipca 1944 r. por. Robert Bijasiewicz — „Orlik” (przedtem „Orlik” był zastępcą szefa Oddziału I, a jeszcze wcześniej — zastępcą komendanta Obwodu Lublin), podlegały: referat personalny, komórka legalizacyjna, referat mobilizacyjny... Komórka legalizacyjna zajmowała się zapewnianiem żołnierzom AK fałszywych dokumentów osobistych, a także różnych przydatnych zaświadczeń. Pracujący w niej ludzie mieli swoje „wtyczki” w różnych polsko-niemieckich urzędach, w magistracie, w biurach ewidencji. Tutaj też opracowywano spisy „bezpiecznych”, mogących przydać się do wpisania do kennkart, nazwisk; umiejętnie dobierano „miejscza zamieszkania”, „miejscza zatrudnienia” oraz — precyzyjnie zestawiano fałszywe „dane personalne”. Referatem personalnym kierował przez pewien czas Mieczysław Żurawski („Włóczga”), z zawodu inżynier (w 1944 r. jeden z dwóch ostatnich adiutantów Komendanta Okręgu, gen. Tumidajskiego — „Marcina”).

W Lublinie było kilka wytwórni dokumentów, m.in. produkował je zastępca „Orlika” do spraw legalizacji — Stępnia; pracował także w „legalizacji” Bohdan Kossowski. Możliwe, że osobna komórka legalizacyjna istniała również w lubelskim Kedywie. Materiały referatu personalnego były szyfrowane, a jeden z szyfrów opierał się na specjalnym wykorzystaniu słów z hymnu „Jeszcze Polska nie zginęła”.

O tym wszystkim majster Zakrzewski, oczywiście, nie wiedział. Po prostu co pewien czas pojawiał się u niego pan Wacław Topolski z listą nazwisk i „danymi” personalnymi dla kolejnej partii kennkart. Przynosił też ze sobą fotografie, które przypinało się specjalnymi okrągłymi „zatrząskami” do kennkarty. Później, gdy interes, zwany potocznie przez Zakrzewskich „paszportówką”, rozkręcił się na dobre, do współpracy przyjęto również syna organisty z kościoła parafialnego na Dziesiątej — Budzyńskiego, który fotografował przyszłych posiadaczy kennkart u siebie w domu.

„Puste” książeczki kennkart otrzymywano z dwóch źródeł. Pierwsze — to był lubelski Magistrat, gdzie w dziale ewidencji ludności pracowała

Halina Mucha, narzeczona jednego z podkomendnych Józefa Zakrzewskiego z plutonu „302” — Henryka Wyszyńskiego. Muszanka wykradła blankiety kennkart, do których miała dostęp, i często przykładała nawet pieczętkę wydziału ewidencji (jeśli chodziło o „zameldowanie” na terenie Lublina), następnie kennkarty były wypełniane na maszynie, już w domu na ul. Spacerowej 13. Czynił to syn majstra Zakrzewskiego — 14-15-letni Jerzy („Wojciech”). Po czym już sam Józef Zakrzewski przykładał, gdzie trzeba, dostarczone przez Topolskiego pieczętki. A na koniec — kładł, idealnie przez siebie „wypracowany” podpis niemieckiego naczelnika policji.

Drugim źródłem blankietów kennkart był ukrywający się w Jastkowie, sam na fałszywych papierach dostarczonych przez Zakrzewskiego, lubelski kompozytor Aleksander Bryk (kuzyn pani Teofilii). Bryk pracował w Jastkowie w młeczarni. Wszedł w kontakt z miejscowym wójtem i od niego dostawał co pewien czas potrzebne blankiety.

Kennkarty i zaświadczenia (najczęściej o pracy na kolei) wypisywano na

przechowywanej w schowku pod piecem maszynie marki „Underwood”. Była to maszyna pochodząca z lubelskiego Magistratu. Wykradli ją kiedyś z jednego z tamtejszych biur chiłocy z AK. Na tej maszynie wypisano w poprzednich latach szereg autentycznych dowodów osobistych; jej czionka była doskonale znana niemieckiej policji, więc niemożliwością było (jeżeli data wystawienia kennkarty była wcześniejsza, poprzedzająca kradzież maszyny) podważenie, przynajmniej na podstawie badania kroju czionki, autentyczności kennkarty. Co się zaś tyczy danych personalnych, to „czerpano je” powołując się na gminne kartoteki, m.in. z urzędu gminnego w Firleju. Jako że partyzanci spalili tam całą dokumentację ewidencyjno-paszportową. Nie istniała więc absolutnie żadna możliwość sprawdzenia przez Niemców zawartych w kennkarcie danych.

Zestaw genialnie podrobionych pieczętek niemieckich był spory. Przede wszystkim była w nim pieczęć „Der Stadthauptmann in Lublin”; następnie — pieczęć „landkomisarza” w Lubartowie, pieczęć „kreisthauptmannów” w Lublinie i w Lubartowie; pieczęć „państwowe” i „zakładowe”, okrągłe z hitlerowską „gąką” i podłużne; budowlane, kolejowe itd., itd...

Kiedy wszystko było gotowe, pozostawało tylko wykonać odcisk palca właściciela. Ale to robił już on sam, u siebie w domu.

Gotowe kennkarty dostarczano na punkt kontaktowy, do ogrodnika Jarosława, zamieszkałego w kamienicy przy obecnej ulicy 1 Maja pod numerem 19.

Pod koniec okupacji Halina Mucha o mały włos nie przyplaciła życiem swojej konspiracyjnej działalności. Została przez kogoś zadencjonowana, aresztowana, a następnie skazana na śmierć. Nie zdążyła jej rozstrzelać, bo do Lublina weszły wojska radzieckie...

W domu przy ulicy Spacerowej 13 „wydano” — w ramach „paszportówki” — około 2 tysięcy fałszywych kennkart i innych dokumentów. Nie przerywano ich produkcji nawet w okresie przebywania w więzieniu Haliny Muszanki.

„Paszportówka” to nie było wszystko. Jesienią 1942 r. majster Zakrzewski otrzymał kolejną konspiracyjną „ofertę”. Chodziło o produkcję w jego warszawie — zapalników do granatów. I miała to być produkcja masowa...

(Koniec odcinka 1. — cnd.)

## LISTY

### „Unici podlascy”

„Ludność wiejska tak zwanego Podlasia, tzn. Siedleckiej i części Lubelskiej i Grodzieńskiej guberni, składa się z dwóch gałęzi: polskiej i ruskiej. Obie te społeczności żyją tu w odrębnych miejscowościach, rozrzuconych na przemian. Przedstawicielem ruskiej gałęzi, od dawna mieszkającej w Polsce albo na Zabuziu, służy nie rzadko jako przedmiot sporu nie tylko wśród ludzi nie orientujących się w antropologicznych i etnograficznych problemach, ale nawet także między uczonymi: w dany czas, kiedy jedni z pełnym przekonaniem uważają ich za Małorusinów, inni gotowi są przyznać w nich Białorusinów. Dla mnie jednak, niewątpliwie, ruska część wiejskiej ludności kilku powiatów Siedleckiej guberni (Białskiego, Konstantynowskiego, Włodawskiego, Radzyńskiego, Sokółowskiego) powinna być odniesiona do małorusińskiego plemienia, czemu służyć potwierdzeniem historyczne, a w szczególności lingwistyczne dane”.

Tak oto o sytuacji etniczno-narodowościowej na południowym Podlasiu pisał w 1891 roku Mikołaj Jańczuk (1859—1921). Ten wybitny ukraińsko-białoruski uczynek, rodem z podbiałskiej Kornicy (leżącej ok. 20 km od „reymontowskiego” Hrudu), dobrze znał z autopsji tę dramatyczną sytuację, jaka ułożyła się na Podlasiu w końcu XIX wieku.

Niech powyższe słowa wybitnego podlasiarza posłużą mi mottem do wniesienia kilku uwag na temat kwestii poruszonych przez Marka Podgajnego w artykule „Unici podlascy” z 36 nr. „Relacji” (21—27 IX 89).

Druga połowa wieku XIX była okresem iście tragicznym dla południowego Podlasia. Przemoc caratu przy likwidacji unii przerodziła się w prawdziwą klęskę kulturową w stosunku do mieszkańców ziemi podlaskiej. Nie dość, że ludność nie powróciła do wiary swoich przodków sprzed Unii Brzeskiej 1596 r., ale na domiar złego Podlasie zaczęło tracić swą autentyczną kulturowo-etniczną tożsamość. Gdzie więc tkwiły korzenie podlaskiej tragedii?

Marek Podgajny pisze, że „początek doświadczeń datować trzeba na schyłek XVI w., kiedy to na synodach w Brześciu, między czerwcem 1595 a październikiem 1596 roku, zawarto unię, która Kościół prawosławny w Polsce podporządkowała papieżowi” (gwoździ doktryny dodam, że unia objęła także Kościół prawosławny w W. Ks. Litewskim, w którego skład wchodziło przez długi czas południowe Podlasie).

Od czasu wprowadzenia unii zakłęte koło przemocy zawisło nad Podlasiem A zaczęło się od walki z „prawosławną schizmą”. I połowa wieku XVII to okres osiрых spięć religijnych w Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Prawosławni, walczący o zachowanie wiary swych przodków, nie mając wsparcia ze strony możnych (Sapiehowie, Chodkiewiczowie, Pacowic, Tyszkiewiczowie, Ostrogscy, którzy wcześniej przeszli na katolicyzm), stawali się mniejszością. Zachowane gminy prawosławne skupiały się wokół monasterów (Brześć, Drohiczyń, Jabłeczna itd.).

Tymczasem nowotwór obrządku unickiego rozrastał się, znajdując szczególnie podatny grunt wśród ludności przygranicznych terenów polsko-białoruskich i polsko-ukraińskich. W 1727 roku na synodzie w Zamościu uczynione zostały postępy w latynizacji obrządku unickiego; następnie dziesięciolecie przyniosło dalsze upodabnianie tego obrządku do Kościoła rzymskokatolickiego.

Wiedzie to automatycznie za sobą polonizację ludności ukraiń-

skiej i białoruskiej Chełmszczyzny i Podlasia (kapitałnie przystąpił do tego jezuita). O tych prawosławnych korzeniach, czy to z niepamięci, czy to z wygody, zaczęto zapominąć. Dlatego też nie może zdumiewać fakt, że podlascy wieśniacy nie kojarzyli prawosławia z jedynie prawdziwą religią swych przodków, na odwrót — prawosławie widziane ich oczyma było narzędziem przymusu w rękach carskiego samowładztwa: darzone je osobliwą antypatią.

Szczegółnej wymowy nabiera tutaj późniejsza teza R. Dmowskiego: „Katolicyzm nie jest dodatkiem do polskości, ale tkwi w jej istocie. Usiłowanie oddzielenia katolicyzmu od polskości jest niszczeniem samej istoty narodu”. Katolicyzm dla „tamtych” ludzi stał się mocną podporą ich chwiejnej polskości.

Masowe przystąpienie południowo-podlaskiej społeczności do Kościoła rzymskokatolickiego po 1905 roku spowodowało odchodzenie jej od dawnej kultury, przyspieszyło zatracenie mowy, będącej niewątpliwie gwarą o cechach ukraińskich.

Pisał o tym w 1913 roku M. Jańczuk: „Obszar zamieszkiwania Małorusinów za Bugiem, w Polsce, był przedtem znacznie większy, ale z każdym rokiem zmniejsza się on w naszych oczach. Małorusini tutaj w szybkim tempie polonizują się, szczególnie w ostatnie 30—40 lat, w rezultacie osobliwych, gorzko układających się warunków ich religijnego bytu. Do czasu, kiedy tutejsi Małorusini mieli swą odrębną „grecko-ukraińską” wiarę, decydująco oddzielali siebie od Polaków, nazywając siebie i swój język „ruskimi”. Ale kiedy unia w 1875 r. była zlikwidowana i unicki administracyjnie, na przekór byli przyłączeni do prawosławia, masowo rzucili się do katolicyzmu, i nie życząc sobie być prawosławnymi, zaczęli wyrzekać się wszymskiego, co rusińskie — mowy, obyczajów, ubioru, a przejmować wszystko polskie”.

Obraz tragedii dopełniły lata następne. „Bieżeństwo” na wschód w czasie I wojny światowej i tragiczne, tym razem dla prawosławnych Podlasia i Chełmszczyzny, lata trzydzieste; legło wtedy w gruzach, zostało rozrabowanych lub rewidowanych dziesiątki zażytków prawosławnej sztuki sakralnej. Miał to być mnieman „odwet” za likwidację unii. Ofiarami przemocy znowu zostali prosci ludzie...

Działania te na pewno nie przysporzyły tym terenom autentycznej polskości. Pozostawiły po sobie natomiast tę ogólnie panującą na Podlasiu atmosferę żalu, wiecznie przymglonego pejzażu (co tak wyrażnie zauważył znany fotograf, pan Stępień) i bijącej zewsząd nostalgii. Właśnie nostalgii za minionym, kiedy to dziesięć wieków temu po obu stronach Bugu brzmiała melodyczna mowa, mowa wschodniostowiańskich plemion: Bużan, Dulebów i Drehowiczów.

I na koniec chęć przytoczyć spis niektórych podlaskich miejscowości, z jakich są dane o istnieniu świątyni prawosławnych przed wprowadzeniem Unii Brzeskiej, tzn. przed 1596 rokiem: Białta Podlaska NMP 1582 r., Paulów Stary 1534 r., Bukowica 1573 r., Gnojno 1592 r., Kijowiec 1531 r., Kobylany 1519 r., Kodeń św. Mikołaja 1404 r., Łomazy 1568 r., Piszczac 1570 r., Witulin 1573 r., Kornica 1578 r., Korczew 1560 r., Łosice (dwie cerkwie 1264 i 1580 r.), Kołechowice 1531 r., Radzyń Podlaski 1463 r., Wohyn 1521 r., Mordy 1523 r., Sokółów Podlaski 1501 r., Konstantynów (Kozierady) 1576 r., Koroszczyń 1576 r., Lebedziów 1523 r.

Powyższe dane są wynikiem badań prawosławnego historyka, ks. Grzegorza Sosny, wybitnego znawcy historii Podlasia. Dla informacji dodam, że ks. Grzegorz jest autorem niektórych hasel w „Encyklopedii Katolickiej”.

Dariusz Fionik  
Bielsk Podlaski



## Dokończenie ze str. 3

Tego zdaje się nie rozumie część publicystów, którzy, podtrzymując dobrą tradycję dziennika telewizyjnego, obiecują, że po rozwiązaniu Centrali Mleczarskiej masło będzie sprzedawane po dwa złote, po likwidacji Wspólnoty Węgla Kamiennego zapełnią się składy węgla, a po zaprzestaniu budowy Żarnowca przybędzie w kraju energii. Nie mogę im tej „propagandy sukcesu” wybaczyć (mimo iż większość z nich nie wie, co czyni), żyrują oni bowiem weksel bez pokrycia, którego rząd premiera Mazowieckiego spłacić nie będzie.

I tyle, w skrócie, zawiera program Balcerowicza. Więcej w nim nie ma. Nie jest to bowiem program w tym sensie, w jakim istniał program drugiego etapu reformy gospodarczej wicepremiera Sadowskiego. W tamtym napisane było, iż 15 grudnia o trzynastej dwadzieścia urealniamy stopy procentowe, a 6 marca przed południem — wprowadzamy wymiennalność walut itd. (oczywiście przesadzam, ale bardzo nieznacznie). Program ten był bardzo precyzyjny. Miał tylko jedną wadę — pozostał na papierze.

I to był chyba najlepszy dowód na kres pewnej filozofii myślenia ekonomicznego. Myślenia opartego na założeniu, iż rzeczywistość polityczna, ekonomiczna i społeczna jest doskonale plastyczna i można ją dowolnie planować i kształtować. O tym, że tak nie jest, przekonał się dobitnie nie tylko wicepremier Sadowski, ale i jego następca wicepremier Sekuła.

I tutaj przechodzimy do drugiego wytłumaczenia różnic ocen w ankiecie „Polityki”. Niemal połowa jej uczestników to bądź osoby bezpośrednio uczestniczące w poprzednich ekipach (właśnie panowie Sadowski i Sekuła) bądź też osoby tworzące intelektualne zaplecze tradycyjnego systemu gospodarki planowej. Mam tutaj na myśli profesora Mieszczankowskiego (osobę szalenie inteligentną, ale o dość ortodoksyjnych poglądach) i doradcę OPZZ (nazywanego Korwinem-Mikke stalinizmu) docenta Podkaminerę.

Jest oczywiste, że wyliczone tutaj osoby nie mogą, choćby chciały, uznać programu wicepremiera Balcerowicza za dobry. I nie wynika to z ich złej woli czy chęci manipulowania opinią publiczną. Po prostu program ten jest tak całkowitym zaprzeczeniem tego, co do tej pory robili i głosili, że gdyby uznali go za słuszny, musieliby uznać cały swój — niemały — wysiłek intelektualny za zmarnowany.

Tutaj dochodzę do kwestii trzeciej. W ekonomii nie ma, nie było i nie będzie prawd absolutnych. Myślenie ekonomiczne nie może być wolne od pozaekonomicznego wartościowania ideologicznego i dlatego w

ekonomii zawsze istnieć będą — co najmniej częściowo — przeciwstawne doktryny ekonomiczne. Tak jest wszędzie na świecie.

W Stanach i Anglii trwa spór między „keynesistami” i „pożajzowcami” i nie przypuszczam, aby kiedykolwiek się on zakończył. Z różnymi konkretnymi programami ekonomicznymi występują co kilka lat różne partie i też nikogo to nie dziwi ani nikt nie podejrzewa — na ogół — nikogo o manipulację. Przeciwnie, wszyscy są przekonani, że ich ideowy czy polityczny przeciwnik wypowiada swoje poglądy w najlepszej wierze i wiedzy. Myślę, że podobnie zaczyna być w Polsce. Mam nadzieję, iż zaczynamy „umieć się różnić” i że dyskusja rzeczowa stopniowo wypierać będzie wzajemne oskarżenia.

A jeżeli już jesteśmy przy manipulowaniu, to oczywiście, iż manipuluje „Polityka”. Publikowane wypowiedzi dobrane są według klasycznego przepisu na pasztet z zajęcia: pół na pół — pół zajęcia i pół konia i mają na celu wytworzenie u czytelnika wrażenia, iż w środowisku ekonomicznym opinie podzielone są fifty-fifty.

Ma się to oczywiście do prawdy tak jak złotówka do dolara, ale i do tego musimy się przyzwyczaić. Wolność słowa nie polega na tym, że wszyscy muszą mówić wszystko. Przeciwnie, każdy ma prawo mówić to, co jemu jest wygodne, a rzeczą słuchaczy czy czytelnika jest dokonać wyboru. Jak już wspominałem, ze znalezieniem wyrazów najwyższego zachwytu nad polityką gospodarczą rządu nie jest dziś specjalnie trudno. Dlatego bronię prawa „Polityki” do manipulacji, byleby była ona mądra i nie przynosiła zbyt dużej szkody.

A z tym ostatnim nie zawsze jest łatwo. Sam w okresie wyborów robiłem, co mogłem, aby namówić ludzi do oddawania głosów na listę OKP. Jak już rzekłem, w życiu nie ma jednak samych zysków bez odrobiny strat. Doczekałem się bowiem oto senatora, który po dwóch, hm, kontrowersyjnych wystąpieniach napisał list do „Gazety Wyborczej”, w którym protestuje przeciwko manipulacji polegającej na podaniu tylko pięciu z jego siedmiu imion i oświadcza, że w związku z tą ciężką obrazą kieruje sprawę do sądu. Co przy tym oryginalne, pisze o sobie w trzeciej osobie („Senator X... powiedział”). I tak dobrze, że nie (pluralis majestatis) w pierwszej osobie liczby mnogiej.

Dlatego na pytanie o oceny programów i ludzi, którzy będą je realizować, odpowiadam zawsze tak jak w tytule tego komentarza.

Michał Zieliński

PO DWOCAH POZNACIE ICH

## INFORMATOR FIRMOWY „RELACJI”

Zakład Mechaniki Precyzyjnej, ul. Dożynkowa 7, 20-152 Lublin poleca usługi w zakresie:

- Naprawa serw hamulcowych typ Fiat, Zuk
- Naprawy reduktorów butlowych wszystkich typów
- Naprawy manometrów przemysłowych
- NAPRAWA REDUKTORÓW LEKARSKICH
- Naprawa palników do spawania i cięcia

Usługi wykonują szybko i solidnie, również w ekspresie, udzielam gwarancji.

Ceny konkurencyjne!

Zakład czynny w godz. 8.00—16.00.

Tel. 77-90-56 w godz. 6.00—8.00 i po godz. 16.30.

24953/G

## OGŁOSZENIA

ATARI 520 STFM, KIEW 60 TTL, brylant 0,32. Tel. 472-73.

25572/G

Kożuchy, odzież skórzana — renowacja. Lublin, Miła 10.

23350/G-10

Pośrednictwo paszportowe, Skłodowskiej 54/3, czynne środy, czwartki, piątki, soboty 14—17.

24952/G

Pracujący poszukuje pokoju, tel. 258-43.

25709/G

Zakład Instalacji Elektrycznych i Pomiarów. Marek Urbanek, Lublin, Nadbystrzycka 85/24, tel. 56-11-58. Przyjmuje zlecenia na pomiary elektryczne. Konkurencyjne ceny.

26035/G

„COMMODORE” Zespół Szkół Budowlanych w Lublinie, ul. Słowicza 3 organizuje kurs podstaw programowania komputerowego. Informacja 430-10.

9146/K

## „Armia Czerwona na Lubelszczyźnie”

## SPROSTOWANIA

Uprzejmie prosimy Ob. Redaktora o sprostowanie i przeproszenie w waszej gazecie Ob. Tureniec Pauliny, zam. Kodeniec, woj. Biała Podlaska oraz syna i córkę zmarłego 18.04.1988 r. Pawła Turenca ps. „Braciunio” za nieprawdziwy, tendencyjny i szkalujący zmarłego artykuł w numerze 41 „Relacji” (z dn. 26.10—1.11.89 r.) pt. „Armia Czerwona na Lubelszczyźnie” — Jesień 1939 r., napisany przez Zbigniewa R. Muszyńskiego, insynuujący, jakoby ww. Paweł Tureniec był winny zbrodni zabicia żołnierzy polskich w dniu z 23/29.09.1939 r. z SGO „Polska” w miejscowości Kodeniec.

Wymieniony Paweł Tureniec został w dniu 1.09.1939 r. zmobilizowany do Armii Polskiej, do Brześcia, i wraz

z nią cofał się na tzw. „Kresy Wschodnie”, gdzie w dniu 17.09.1939 r. w miejscowości Zdołbunów k. Równego został internowany przez Armię Czerwoną. Oficerowie z jego jednostki pojechali do Kozielska i dalej do Kątynia, on wraz z innymi szeregowymi żołnierzami zostali przekazani przez Armię Czerwoną Niemcom i znalazł się w Niemczech w miejscowości Gortitz (obecnie Zgorzelec) w obozie jeńcockim.

Posiadamy zaświadczenie nr 338129, wydane przez ZBoWiD w Białej Podlaskiej, z którego wynika, że z robót w Niemczech powrócił dopiero w dn. 30.11.1941 r. Zatem w okresie, o którym pan Muszyński pisze, że P. Tureniec jest winnym śmierci oficerów

WP, przebywał on w niewoli u „Armii Czerwonej” w Zdołbunowie. Żądamy przeproszenia nas i umieszczenia artykułu w „Relacjach” o pomyłce i nierzetelnych informacjach o tych zdarzeniach, w przeciwnym wypadku wystąpimy na drogę sądową.

Paulina Tureniec, Kodeniec  
Włodzimierz Tureniec,  
W-wa, Rozłucka 13/16  
Halina Leśniak z d. Tureniec,  
Lublin, ul. Skierki 7/25  
Stanisław Leśniak, j.w.

Zdjęcia ilustrujące ostatni odcinek artykułu Z. R. Muszyńskiego „Jesień 1939. Armia Czerwona na Lubelszczyźnie” („Relacje” nr 42, s. 12 i 13) pochodzą z zbiorów Archiwum Dokumentacji Mechanicznej w Warszawie, a nie Archiwum Państwowego w Lublinie, gdzie były jedynie eksponowane na wystawie poświęconej kampanii wrześniowej 1939 roku na Lubelszczyźnie.

INFORMATOR  
KULTURALNY

## TEATRY

## W LUBLINIE

Teatr im. J. Osterwy: 11.11 godz. 18; 12 — 15.11 godz. 11, 18: „Gałązka rozmarynu” Zygmunta Nowakowskiego; reż. Roman Kordziński.

Teatr Lalki i Aktora: 9 — 10.11 godz. 10, 12; 12.11 godz. 12: „Don Żan”, anonimowy czeski, reż. Tomasz Jaworski. 14 — 15.11 godz. 10, 12: „Ural Batyr”, baśń baszkirska, reż. Włodzimierz Felenczak. Teatr Muzyczny: 9.11, 11 — 12.11 godz. 19 (Dom Kultury Kolejarska ul. Kunickiego 35): „Baron cygański” Johanna Straussa. 15.11 godz. 19: „Paganini” Ferruccio Lehara.

## MUZYKA

## W LUBLINIE

Filharmonia: 10.11 godz. 19, 11.11 godz. 18 — koncert symfoniczny Orkiestry Państwowej Filharmonii Lubelskiej pod dyrekcją Adama Natanka. Solistka — Barbara Górzyńska (skrzypce). W programie: Koncert skrzypcowy D-dur P. Czajkowskiego, Mała suita W. Lutosławskiego, „Hiroshima” K. Pendereckiego, „Orawa” W. Kilara. Aula im. Stefana Kardynała Wyszyńskiego (KUL, Al. Racławickie 14): 9.11 godz. 19 — koncert organowy Józefa Serafina. W programie m. in. utwory J. S. Bacha, M. Sokoła, J. Alaina, M. Regera, T. Machla, M. Surzyńskiego.

## WYSTAWY

## W LUBLINIE

Galeria Grodzka (ul. Grodzka 5a) — wystawa malarstwa i instalacji Krzysztofa Rumowskiego.

Muzeum im. J. Czechowicza — wystawa linorytu barwnego Zygmunta Czyża.

Muzeum na Zamku — wystawa poświęcona 50 rocznicy Września pt. „Broń i barwa Wojska Polskiego w roku 1939”.

Galeria BWA (ul. Narutowicza 4) — zbiorowa wystawa prac członków TPSP.

Galeria STL (ul. Grodzka 16): 10.11 godz. 17 — otwarcie wystawy malarstwa i grafiki (Piotr Olszewski, Piotr Hendigery, Wanda Stokwicz, Jacek Wojciechowski, Tomasz Zawadzki, Walenty Wróblewski).

Galeria TPSP (ul. Grodzka 32/34) — wystawa prac artystów węgierskich. Wydział Pedagogiki i Psychologii UMCS (ul. Narutowicza 12) — wystawa pt. „Elementarze świata i Sztuka Dziecka”.

Archiwum Państwowe (ul. Trybunalska 13) — wystawa pt. „Lubelski Wrzesień 1939 r. — Społeczeństwo, Wojna, Okupanci”.

MDK Vetter (ul. Dąbrowskiego 14) — wystawa pt. „Kultura Indii” (czynna w godz. 11—18).

## W BIAŁEJ PODLASKIEJ

Salon Wystawienniczy Muzeum Okręgowego — wystawa medalierstwa Zofii Demkowskiej i jej uczniów.

BWA — wystawa pt. „Tematy muzyczne w malarstwie”.

## W CHELMIE

Muzeum Okręgowe (ul. Kasprzaka 4): 11.11 godz. 17 — otwarcie wystawy pt. „Panorama chwały Oręża Polskiego w malarstwie Stanisława Bodesa”.

Muzeum Okręgowe (ul. Lubelska 57): 10.11 godz. 15 — otwarcie wystawy pt. „Jaćwież i Litwa w okresie starożytnym i we wczesnym Sredniowieczu” (ze zbiorów Państwowego Muzeum Archeologicznego w Warszawie).

Galeria 72 — poplenerowa wystawa prac „Okuninka'88”; 15.11 godz. 17.30 — otwarcie wystawy prac Grzegorza Sztabińskiego z Łodzi.

## W ZAMOŚCIU

BWA — wystawa grafiki Leszka Rógi.

Nowa Siedziba Muzeum Okręgowego (Kamienice Ormiańskie 26/28) — wystawa pt. „Ocalone dla przyszłości” (zbiory poddane konserwacji w latach 1975—1988) wystawa pt. „Zamość — historia renowacji”.



**Czwartek**

9 LISTOPADA

**PROGRAM I**

8.35 Domator  
8.50 Domowe przedszkole  
9.15 Dt — wiadomości  
9.25 „Głina z wyższych sfer” (odc. 6)  
10.15 Domator: Przy herbacie  
16.20 Program dnia i Telegazeta  
16.25 Dla młodych widzów: Kwant  
oraz film z serii: „Świat, w którym żyjemy”  
17.15 Teleexpress  
17.30 Polonia Restituta (poezja i piosenki żołnierskie od czasów powstań narodowych do wybuchu II wojny światowej)  
18.25 Magazyn katolicki  
18.45 10 minut  
19.00 Dobranoc: Przygody rozbójnika Rumcajsa  
19.10 Teraz — tygodnik gospodarczy  
19.30 Dt  
20.00 Studio sport  
20.05 „Głina z wyższych sfer” — odc. 6 pt. „Zamrożone srebra” — serial krym. prod. ang.  
21.00 Sport  
21.10 Pegaz  
21.55 Program publicystyczny  
22.25 Reggie — widowisko z udziałem amerykańskiej wokalistki Reggie Magloire  
22.55 Dt — echa dnia

**PROGRAM II**

17.15 Program dnia  
17.20 Skarby kultury polskiej: „Klejnot północy” — film dok.  
18.00 Program lokalny  
18.30 Chińskie konfrontacje — reportaż Ryszarda Bójki  
19.00 Magazyn „102”  
19.30 Zielone kino: „Mewy śmieški” — film przyr. TVP  
20.00 Wielki sport  
21.00 Ekspres reporterów  
21.30 Panorama dnia  
21.45 Kino studyjne „Dwójki”: „Z życia marionetek” — film fab. prod. RFN. Reż. Ingmar Bergman.  
23.55—24.00 Komentarz dnia

**Piątek**

10 LISTOPADA

**PROGRAM I**

8.35 Domator  
8.50 Domowe przedszkole  
9.15 Dt — wiadomości  
9.25 „A jeśli będzie jesień” — film fab. TVP  
10.40 Domator  
16.20 Program dnia i Telegazeta  
16.25 Dla młodych widzów: Rambit — teleturniej  
16.50 Dla dzieci: Okienko Pankracego  
17.55 Teleexpress  
17.30 Raport — publicystyka międzynarodowa  
17.55 „Ulan Krechowicki” — film dok.  
18.25 Stop — magazyn konsumentów  
18.45 Weekend w „Jedynce”  
19.00 Dobranoc: Kret i buldożer  
19.30 Monitor rządowy  
19.30 Dt  
20.05 Akademia filmowa: „Odłot” — film fab. prod. USA. Reż. Miloš Forman  
21.35 Sport  
21.45 Kontrapunkt — program public.  
22.15 Otwarte studio  
23.15 Dt — echa dnia  
23.30 Otwarte studio (c.d.)

**PROGRAM II**

17.25 Program dnia  
17.30 Wzrockowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego  
18.00 Program lokalny  
18.30 Program public.  
18.50 Szansa: Dziewczyna miesiąca  
19.30 Dookoła świata: W świątyniach Indii

20.00 „Piątek” — krakowski przekładaniec kulturalny  
21.30 Panorama dnia  
21.45 „Nie podskakuj” — film fab. prod. kanadyjskiej  
23.40—23.45 Komentarz dnia

**Sobota**

11 LISTOPADA

**PROGRAM I**

8.00 Tydzień na działce  
8.20 Na zdrowie — program rekreacyjny  
8.55 Program dnia  
9.00 Drops — magazyn dla dzieci i młodzieży, a w nim „Jelonek” (1) — serial prod. jugosl.  
10.30 Dt — wiadomości  
10.40 Z Polski rodem — magazyn polonijny  
11.10 I wleciał Orzeł Biały... — wojskowy program dok.  
11.50 Uroczysta odprawa wart przed Grobem Nieznanego Żołnierza w Warszawie  
13.10 Listy polskie — Marty Ptaszyńskiej Oratorium na Rocznice Odzyskania Niepodległości  
13.55 Telewizyjny Teatr Prozy: Maria Dąbrowska — „Dzienniki 1914—1925”.  
15.00 Szkoła mistrzów: Witold Sobociński  
15.20 Filmy o miłości: „Do widzenia, do jutra” — film fab. TVP.  
16.45 Do trzech razy sztuka.  
17.15 Teleexpress  
17.30 Piosenka ci nie da zapomnieć — film dok.  
18.35 Butik  
19.00 Dobranoc: Przygody Misia Colargola  
19.10 Z kamerą wśród zwierząt  
19.30 Dt  
20.05 Premiery starego kina: „Młody las” — film archiwalny TVP  
21.25 Sport  
21.45 Tydzień w polityce  
21.55 Jeszcze Polska nie zginęła — XXV Festiwal Piosenki Polskiej — Opole '88  
22.45 Telegazeta i jutro w programie  
22.50—0.40 Kino sensacji: „Zabójstwo prokuratora — film fab. prod. wł.

**PROGRAM II**

14.00 5 — 10 — 15 — program dla dzieci i młodzieży  
15.25 W świecie ciszy — program dla niesłyszących  
15.50 Małe kino: „Najtrudniejsza ściana” — film dok.  
16.25 Telewizyjny koncert życzeń  
16.55 Powitanie  
17.00 „Ostatni legionieści” — film dok.  
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska  
18.30 „Brat Albert” — widowisko dok. w reż. ks. Wojciecha Stokłosy  
19.30 Alfa i omega  
20.00 Pieśni patriotyczne. Wyst. Chór „Organum”, Chór UJ, Chór Kameralny Filharmonii Krakowskiej, zespół instrumentalny, aktorzy scen krakowskich, legionieści — uczestnicy walk  
20.30 Józef Czapski, świadek historii — film dok.  
21.05 Muzyka i polityka (5): Pieśni o wodzu miłym  
21.30 Panorama dnia  
21.45 „Bogate biedactwo, czyli historia życia Barbary Hutton” (1) — serial fab. prod. ang. Reż. Charles Jarrott.  
22.35 Jacek Stwora: Co jest za tym murem? (3) — Człowiek — Sygnet  
22.55—23.00 Komentarz dnia

**Niedziela**

12 LISTOPADA

**PROGRAM I**

8.50 Program dnia  
8.55 Kino Teleranka: „Janka” (8) — serial prod. TVP  
9.25 Uroczystości kanonizacyjne brata Alberta Chmielowskiego — transmisja z Bazyliki św. Piotra w Rzymie

12.10 Telewizyjny koncert życzeń  
12.55 Teatr dla dzieci: Elżbieta Zaleska — „Palcem po mapie”  
13.40 Sportowa niedziela  
14.30 Ballada o Kobylinie — widowisko publicystyczne  
15.10 Antena  
15.35 „Panna dziedziczka” (27) — serial fab. prod. brazyl.  
17.15 Teleexpress  
17.30 Telewizyjny Teatr Rozmaitości: Raymond Chandler — „Żegnaj laleczko” (3 — ostatnia)  
19.00 Wieczorynka: Siostrzeńcy Kazora Donalda  
19.30 Dt  
20.05 „Tanamera” (4) — serial fab. prod. ang.  
21.00 Siedem dni: Świat  
21.30 Sport  
22.10 Telegazeta  
22.15 Filmy Józefa Błachowicza: „Uroczysko”

**PROGRAM II**

9.25 Przegląd tygodnia (dla niesłyszących)  
10.00 „Tanamera” (4) — serial fab. prod. ang. (dla niesłyszących)  
10.59 Peryskop  
11.20 Jutro poniedziałek  
12.15 Powitanie  
12.20 Polska Kronika Filmowa  
12.30 100 pytań do...  
13.10 Podróże w czasie i przestrzeni: „Wędrowki ludów nad Pacyfikiem” (2)  
14.05 Kino rodzinne: „Niebezpieczna zatoka” — serial prod. kanad.  
15.05 Polacy: Kilka epizodów z życia aktora — Andrzej Łapicki  
15.55 Być tutaj — gawęda prof. Wiktorina Zina  
16.10 Zbliżenia — czyli to i owo o filmie  
17.00 Studio sport  
17.30 Bliżej świata  
19.00 Wywiady Ireny Dziedzic  
19.30 „Hans Peter Reuter — przestrzeń, światło, struktura” — film dok.  
20.00 Studio sport: Piłka w grze  
21.00 Program rozrywkowy  
21.30 Panorama dnia  
21.45 „Wojna i pamięć” (11) — serial fab. prod. USA  
22.45—22.50 Komentarz dnia

**Poniedziałek**

13 LISTOPADA

**PROGRAM I**

16.30 Program dnia i Telegazeta  
16.25 Luz — magazyn nastolatków  
17.15 Teleexpress  
17.30 Gorące linie  
17.55 Wędrowki dalekie i bliskie: „Wspaniała Kartagina” — film dok. prod. tunezyjskiej  
18.25 Mieszkać — wszechnica budowlana  
18.45 10 minut  
19.00 Dobranoc: Ja ci jeszcze pokażę  
19.10 W Sejmie i Senacie  
19.30 Dt  
20.00 Nowy ład gospodarczy, czyli jak wykorzystać szansę  
20.15 Teatr Telewizji: Friedrich Schiller „Wallenstein” cz. I — „Obóz Wallensteina”; cz. II — „Śmierć Wallensteina”. Reż. Krzysztof Babicki.  
23.10 Sport  
23.20 Dt — echa dnia

**PROGRAM II**

17.20 Program dnia  
17.30 Antena „Dwójki” na najbliższy tydzień  
17.45 Ojczyzna — polszczyzna: Język polski pod zaborami  
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska  
18.30 Czarno na białym — przegląd pki  
19.10 Publicystyka kulturalna  
19.30 Życie muzyczne: Upowszechnianie muzyki  
20.00 Auto-Moto-Fan-Klub  
20.30 Osądźmy sami  
21.15 Rozmowy o cierpieniu  
21.30 Panorama dnia  
21.45 Biografie: „Przyjdź niech cię odmłodzę” — film prod. CSRS  
22.55 Komentarz dnia

**Wtorek**

14 LISTOPADA

**PROGRAM I**

8.35 Domator  
8.50 Domowe przedszkole  
9.15 Dt  
9.25 „Akwen Eldorado” (4 — ostatni)  
10.15 Domator: Rady na życzenie  
16.20 Program dnia i Telegazeta  
16.25 Dla dzieci: Tik-Tak oraz kino Tik-Taka: „Cudowna podróż” (45) — serial animowany prod. austriackiej  
17.15 Teleexpress  
17.30 Spożyczenia  
17.55 Klinika Zdrowego Człowieka  
18.15 W stronę rynku — program public.  
18.45 10 minut  
19.00 Dobranoc: Wesołe przygody Pi-ka, Kwika i wieloryba Grubaska  
19.10 Program public.  
19.30 Dt  
20.00 Nowy ład gospodarczy, czyli jak wykorzystać szansę  
20.15 „Akwen Eldorado” (4 — ostatni) — serial TVP  
21.05 Sport  
21.15 Lekykon polskiej muzyki rozrywkowej — „S”  
21.55 Studio Solidarność  
23.25 Dt — echa dnia

**PROGRAM II**

17.25 Program dnia  
17.30 Klub ludzi z przeszłością  
18.00 Program lokalny  
18.30 Modlitwa wieczorna w intencji kraju i świata  
18.50 Program public.  
19.30 Bliższe nieba — magazyn alpinistyczny  
20.00 Non stop kolor: „Piosenki z Pragi” — film prod. polsko-brytyjskiej  
21.00 W kręgu sztuki: „Dzieje fotografii” (6) — serial dok. prod. ang.  
21.30 Panorama dnia  
21.45 Studio im. Karola Irzykowskiego: „Wahadełko” — film prod. TVP.  
22.45 Komentarz dnia

**Środa**

15 LISTOPADA

**PROGRAM I**

8.35 Domator  
8.50 Domowe przedszkole  
9.15 Dt — wiadomości  
9.25 „Podróż nad morze” — film TVP  
10.15 Domator  
16.00 Program dnia i Telegazeta  
16.05 Dla młodych widzów: SOS — sami o sobie  
16.30 Dla dzieci: Cojak — teleturniej  
17.00 Program public.  
18.00 Teleexpress  
18.15 Dawniej niż wczoraj  
18.45 10 minut  
19.00 Dobranoc: Porwanie Baltazara Gąbki  
19.10 Oferty Pegaza  
19.30 Dt  
20.00 Nowy ład gospodarczy, czyli jak wykorzystać szansę  
20.15 „Aktorzy prowincjonalni” — film fab. TVP. Reż. Agnieszka Holland  
22.00 Sport  
22.10 A jednak życie — festiwal życia (2)  
23.15 Dt — echa dnia

**PROGRAM II**

17.25 Program dnia  
17.30 Galeria ciekawych inicjatyw artystycznych  
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska  
18.30 Program rozrywkowy  
19.00 Hotel „Zacisze” (5) — serial komediowy prod. ang.  
19.30 Angola — program public.  
20.00 Wirtuozi wiolinistki — Michał Grabarczyk  
21.00 „Okrucy życia” — reportaż  
21.30 Panorama dnia  
21.45 „W labiryncie” — serial TVP  
22.15 Telewizja nocą  
23.00 Komentarz dnia

**relacje**

ADRES REDAKCJI  
20-029 LUBLIN, UL. M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ 2  
20-950 LUBLIN, SKR. POCZT. 231



TELEFONY  
• 215-57 • SEKRETARIAT RED. NACZELNY I  
• 205-34 • SEKRETARZE REDAKCJI  
• 202-91 • 208-59 • 233-88 • DZIENNIKARZE

**ZESPÓŁ**

EWA CZERWIŃSKA (II SEKRETARZ REDAKCJI) • MIROSLAW DERECKI • TERESA DRAS (REDAKTOR TECHNICZNY)  
ZBIGNIEW DZIECIŃCZEK • WIESŁAW HORABIK • VIOLETTA KRASNOWSKA • HENRYK PAJAK • ANDRZEJ W. PAWLUCZUK  
WALDEMAR PIASECKI • FRANCISZEK PIĄTKOWSKI (REDAKTOR NACZELNY) • MACIEJ PODGÓRSKI (SEKRETARZ  
REDAKCJI) • WALDEMAR STĘPIEN (FOTOREPORTER) • LESZEK WIŚNIEWSKI (Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO)  
IZABELLA WŁAZŁOWSKA • MICHAŁ ZIELIŃSKI • JANUSZ WRONA • KRZYSZTOF LAMCH  
ROBERTA BARBARA CABAN • BARBARA JASTRZĘBSKA • TERESA STERLUS • ANNA  
WOJCIWICZ • GRZEGORZ BORZECKI

**WYDAWCA**

Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch”, ul. Jasna 6, 20-077 Lublin, tel. 255-30.

**DRUK**

Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-35-71.

Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadesłanych materiałach.

Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają oddziały Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa—Książka—Ruch” i urzędy pocztowe. Nr indeksu: 37409 PL ISSN 0660-8830.

Zam. 1586. 30.10.1989 r. B-4.



# TYLE CO NIC

Henryk Pająk

**L**UDZIE chcą wpiąć chleba, a dopiero potem igrzysk, partii politycznych i tym podobnych fanaberii; i tak jest na całym świecie. U nas odwrotnie. Zapowiada się wielki asortyment partii, a chleba coraz mniej. Głód partii nie jest tym czym głód chleba, cukru, masła i rąbarki.

Przez 45 lat nie było w Polsce żadnej partii, krajem rządził Aparat i gdyby w porę, nawet 10 lat temu, zdołał wreszcie rzucić na półki dostatecznie dużo chleba i rąbarki, a do tego jeszcze możliwość publicznego narzekania, ludzie nadal by nie dostrzegali, że żyją w kraju całkowicie bezpartyjnym.

Teraz całe zastępy uzdrowiaczy, natchnionych misjonarzy demokracji rzucają się do zakładania partii, oczywiście własnych, jedynie słusznych, dziedziczących chlubne tradycje. Ze wzdrganiem wskazują na konkurentów, nazywają ich samozwańcami, niemal oszustami, oskarżają o rozbijacką działalność, koniunkturalizm, żądze władzy, wypominają grzeszki przeszłości, dawną lojalność czy jej brak.

ZSL mieni się jedynym spadkobiercą agraryzmu PSL, choć zrobiło wszystko, żeby zniszczyć wieś i agraryzm. Pan Bartoszcze zakłada własne PSL i przestrzega przed samozwańcami spod znaku PSL i innymi, że aż wstyd powiedzieć kim. PZPR tylko patrzeć, jak podpisze się pod socjaldemokracją czy socjalizmem I Proletariatu, podczas gdy przez 40 lat robiła wszystko co w

jej mocy, a miała jej w bród, aby zniechęcić do słów takich jak socjalizm, komunizm, socjaldemokracja. Stronnictwo Demokratyczne czyniło nadludzkie wysiłki, aby swym służalczym programem wesprzeć Aparat w ignorowaniu wszystkiego, co trąci demokracją, co z pewnością teraz nie przeszkodzi owemu Stronnictwu przekształcić się w oazę demokracji.

W awangardzie przemeblowań tych samych pięknych gmachów i foteli stoją, rzecz jasna, starzy liderzy, wypróbowani gębaczowie oraz ci z pomniejszych, co nie zdołali dopchać się na szczyty i teraz dowodzą, że krzywdzono ich i odsuwano za mówienie prawdy. Znamienne, że wszystkich łączy jedno: niechęć do wyprowadzki. Chcą się przepoczwaryć, nie wychodząc w lud, w elektorat, w narodowy plebiscyt, wolne wybory. A powinno być tak: wszyscy opuszczają klasę na przerwę, do przewietrzenia. Zbierają się na boisku, po czym w głosowaniu wolnym, bezpośrednim, dzielą się na klasy, partie i stronnictwa.

Do tego jest potrzebne moratorium. Dajmy na to — przez najbliższe dwa lata nie ma żadnych partii. Co więcej, zakazana jest wszelka działalność rzeczonych obecnych, jak i mających ochotę się narodzić, partii i partyjek. Generalne wietrzenie Polski, cała władza w ręce Sejmu. Po dwóch latach Sejm, oczywiście w tym czasie dostatecznie zdemoralizowany nadmiarem

władzy, rozwiązać i rozisać nowe wybory. Zapewne będzie wtedy już nieco więcej chleba i rąbarki, ludzie, złażnieni chleba i rąbarki, a nie partii, może zgodzą się na to, żeby amatorom władzy, czyli partii, pozwolić na zakładanie tych kosztownych zabawek, opłacać im te dziesiątki tysięcy bonzów i armię administracji.

Co może zrobić dziesięć najlepszych, najszlachetniejszych partii w kraju, w którym nie ma nic oprócz partii? Nic lub tyle co nic. Jedyne, co mogą zrobić dobrego, to rozwiązać się i nie antagonizować społeczeństwa, nie zatrutować atmosfery mrzonkami o ich zbarwiennych programach 'naprawy' Rzplitej.

Albo inaczej: nie żadne tam dwuletnie moratorium, tylko stały zapis w konstytucji, zabraniający istnienia czy zakładania jakiegokolwiek partii! Przez 45 lat żyliśmy w społeczeństwie bezpartyjnym, więc staniemy się społeczeństwem naprawdę bezpartyjnym.

To zrozumiałe, że wtedy muszą zaistnieć w społeczeństwie mechanizmy samoorganizacji, samokontroli, samoocyszczania. Jest taki mechanizm. To wolne wybory. Wszędzie, od zakładu pracy, uczelni, poprzez gminę, województwo, po rząd i Sejm. Przecież o niczym tak przez te czterdzieści lat nie marzyliśmy, jak o wolnym wyborze kierowników, dyrektorów, naczelników i prezydentów. Czy do tego są nam potrzebne partie demagogów i darmozjadów? Czy synonimem demokracji ma być istnienie dziesięciu partii, w tym trzech chłopskich, trzech robotniczych, dwóch chadeckich, tyle samo narodowców itp.?

Ponieważ człowiek jest stworzeniem stadnym, musi gdzieś do czegoś należeć, z czymś się zbiorowo identyfikować i czemuś sprzeciwiać, niech się łączy w stowarzyszenia o charakterze

społeczno-regionalnym, a jako pracownik — w związkach zawodowych. Te są bezwzględnie potrzebne, bo nigdy nie staniemy się społeczeństwem, w którym znikną sprzeczności między zatrudnionym a pracodawcą.

Ale jak uniknąć przeobrażenia się niewinnego związku zawodowego w partię pazerną na władzę?

Tego nie wiem. Nie wie również Lech Wałęsa. Dlatego odgraża się, że niedługo będzie należał już tylko do Polskiego Związku Wędkarskiego. Ja należę do Związku Kynologicznego, czego nawet nie jestem taki pewny, bo od przeszło roku nie opłacam składek.



Rys. Arkadiusz Derecki

## AD VOCEM ANARCHIA

**A**NARCHIŚCI zrezygnowali wprowadzić z diety i okupacji KMPiK-u („Relacje” nr 42), okupują jednak nadal iamy „Relacji” (nr-y 33 i 39). We wszystkich tekstach powtarza się jak refren sprawa nieznaności korzeni anarchizmu, jego historii oraz dorobku teoretycznego. Sprzeciw wzbudza też odsyłanie anarchistów do szkoły. Czyżby więc anarchia oznaczała niechęć do nauki? Sprawdzam w słownikach — chyba nie.

Termin jest pochodzenia greckiego. Arche oznaczało u starożytnych Greków władzę, a także urząd we władzę wyposażony (np. archont w Atenach). Anarchia to bezrząd w państwie, brak władzy i porządku prawnego. Anarchizm zaś to doktryna zrodzona na przełomie XVIII i XIX wieków, według której człowiek powinien być całkowicie wolny od wszelkich kępujących go instytucji społecznych i wiczków, a przede wszystkim od państwa i prawa.

Zainteresowanych szczegółami trzeba odesłać do literatury i, niestety, do nauki. O niej też coś jest. Jeden z teoretyków anarchizmu, Michał Bakunin pisał, że wiedza ludzka jest zawsze niedoskonała i porównując to, co już odkryte, z tym, co pozostało jeszcze do odkrycia, można powiedzieć, że nauka ciągle jest w kolebce.

Co może wnieść do tej kolebki zespół „Patologia ciąży”, nad którego wypadkiem ubolewa nie znany nam (a tylko redakcji) obrońca anarchistów („Relacje” nr 36)? Lepiej nie dociekać, zwłaszcza że rzeczywistość stawia nas przed nowymi problemami. Oto anarchiści, przeciwni rządowi, przzerwali głodówkę, zaś rząd, choć nie anarchistyczny, głodowanie zapowiada. Czy można coś z tego zrozumieć? Chyba nie — czysta anarchia!

Arcus M.

## KILKA ŚMIERTELNIE POWAŻNYCH PYTAŃ

Henryk Sobiechart

**A**RTYKUŁ 77 Konstytucji PRL stanowi: „Polska Rzeczpospolita Ludowa szczególną opieką otacza inteligencję twórczą — pracowników nauki, oświaty, literatury i sztuki oraz pionierów postępu technicznego, racjonalizatorów i wynalazców”.

Zwracam się do pań i panów posłów, senatorów ziemi lubelskiej z następującymi pytaniami:

1. Czy zacytowany artykuł Konstytucji był lub jest przez kogokolwiek kwestionowany? Czy może ktoś wniosł o jego anulowanie?

2. W jakim stopniu, zdaniem państwa, zasada konstytucyjnej „szczególnej opieki” w odniesieniu do wskazanych w art. 77 ustawy grup i środowisk zawodowych jest realizowana w praktyce?

3. Czy znane są państwu jakieś in-

ne grupy zawodowe, którym Konstytucja tego państwa gwarantuje „szczególną opiekę”?

4. Czy powszechne dziś materialne ubóstwo ludzi pióra, aktorów nie pozostaje w zbyt jaskrawej sprzeczności z tym niewątpliwie wyróżniającym prawem? Podkreślam — prawem!!!

5. Czy wreszcie niedawna rozpaczliwa publiczna walka w Sejmie o doścignięcie pensji nauczycieli do tzw. „średniej krajowej”, w czym przecież niektórzy z państwa mieli chwalebny udział, nie jest jawnym dowodem na to, że zbyt wiele praw konstytucyjnych pozostaje nadal nie do znaczącego papierem?

I tyle. O twórców postępu technicznego niech się już upominają kompetentni przedstawiciele.

*a teraz podam wam najnowszą wersję tamtych wydarzeń...*



Rys. Arkadiusz Derecki

**W NUMERZE 44. OPUBLIKUJEMY:**

● Spowiedź senatora ● Szkic z miasta Gierka ● Wrzesień w Chełmie ● Bezdomna starość w Jawidzu ● Przy pomocy milicji ● Zwrot październikowy ● Gorące Wilno ● Konspiracyjna wytwórnia broni AK

## ŚCIŚLE TAJNE

**J**EDNYM z największych idiotyzmów, jakie spotyka się co dnia na ulicach miast polskich, są porozwieszane, gdzie tylko się da, tablice z przekreślonym aparatem fotograficznym. Mają one chronić ważne dla nas obiekty przed fotografowaniem przez wrednych agentów wroga. I chronią.

Najnowszy, wydany w 1988 roku, plan Lublina zawiera tu i ówdzie miejsca puste, jakby nic się tam nie znajdowało. Mieszkańcy miasta wiedzą, co tam jest, ale obcy nie muszą.

Na wydanym w 1931 roku planie Wielkiego Miasta Lublina znajdujemy zaznaczone takie obiekty, jak koszary, wojskowe składy amunicji, pole lotnicze, fabrykę samolotów, elektrownię, gazownię, dokładny przebieg linii i bocznic kolejowych. Czym się to skończyło — wiadomo.

Dziś możemy być spokojni — wszystko jest ściśle tajne. Zakazy fotografowania i plan miasta ochronią nas przed obcym wywiadem. Nawet satelitarnym. Możemy spać spokojnie. Tajemnica wojskowa — jak powszechnie wiadomo — ma chronić nie to, co jest, lecz to, czego nie ma. Węgrzy, którzy znieśli zakazy fotografowania, niech mają się na baczności. Wróg nie śpi!

Flesz

## HANDLOWE EMOCJE

**W**CZASACH, kiedy stać mnie było jeszcze na urlopowe wyjazdy, byłem świadkiem, jak pewien wędkarz wyciągnął dorodnego szczupaka w miejscu, w którym, wedle wszelkich wędkarskich reguł, ryba ta nie miała prawa zerować. Pamiętam radosne zdziwienie owego wędkarza, powtarzającego z niedowierzaniem: „To niemożliwe...”

Dziś podobnych emocji możemy doznawać na co dzień. A to dzięki handlowcom. Rozmaite towary kupujemy w miejscach doprawdy zadziwiających. Biustonosze pojawiły się w sklepie ogrodniczym. Ke czup w tzw. „Domu Sportu”. „Kurier Lubelski” od niedawna kupujemy w restauracjach, a dolary — miast w banku czy kantorach — nadal u koników. Ostatnio z Zamościa dotarła wiadomość, iż olej jadalny będzie tam sprzedawany w kioskach „Ruchu”.

Chwała dzielnym handlowcom! W trudnej sytuacji, gdy nie mogą zaspokoić naszych potrzeb, starają się nas przynajmniej zadziwić.

(kow)